*Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!*

# NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 25 zł — 12 stron

Warszawa, 8 października 1950 r.

Nr 28 Rok I

SOPOT

SEWERYN POLLAK

# BUŁGARIA DWUKROTNIE WIDZIANA

Któż z nas we wczesnej młodości nie odbywał urojonych podróży po mapie? Wiadomości z nauki geografii, z lektury książek podróżniczych kształtują jakże często fałszywe wyobrażenia o obcych krajach, wyobrażenia , które długo nosimy w sobie, a które pryskają bez śladu przy pierwszym zetknięciu z rzeczywistością. W młodzieńczych latach Bułgaria wydawała mi się krajem dzikim, prawie bezludnym, gdzie latem panuje nieznośny skwar, a zimą dojmują okrutne mrozy. Wydawało mi się że jest to kraj bezdroży, gdzie chłopi wędrują górami poganiając po urwistych ścieżkach małe, obładowane ciężarami osiołki. Już pierwsza moja podróż rozwiała te fałszywe wyobrażenia o Bułgarii nowej, przeniesione z opisów Bułgarii dawnej, zatrzymanej w rozwoju przez tureckich najeźdźców i rodzimych feodałów.

Ujrzałem Bułgarię inną — kraj budujących się dróg. Drogi-arterie, po których płynie żywa krew kraju, świadczą zawsze o jego żywotności, o jego prężności życiowej. Nowa, ludowa Bułgaria buduje sobie drogi nowe — w sensie dosłownym i przenośnym. Drogi te buduje młodzież — nadzieja i chluba tego kraju. Wtedy już, gdy dwa lata temu jechałem autem po prowincji bułgarskiej, gdy powracałem z Warny do Sofii linią kolejową, która przebijając się przez góry, wdrąża się w nie niezliczonymi tunelami, raz po raz słyszałem odgłosy wybuchów. Tu brygady młodzieży rozsadzały dynamitem twarde skały pod nowe szosy. Tam ochotnicze brygady młodzieży budowały tamy na rzekach. Gdy niedawno, wysoko w górach Rylskich pokazano mi otoczoną wyniosłymi szczytami głęboką kotlinę, która wkrótce stanie się wielkim jeziorem, zamkniętym wysoką tamą — stanąłem w zdumieniu przed ogromem zamierzenia. Elektrownia, która tu powstanie, zasili energią dużą część kraju, a uboga obecnie w wodę rzeka Isker nawodni kilka prowincji.

*

Z Sofii do Płowdiwu droga wiedzie przez starą dolinę tracką, arenę walk wielu narodów, dolinę, w którą wsiąkła krew dawnych Traków, Scytów, Słowian i Turków. Stąd legendarny Jazon wyruszył na podbój Kolchidy, tu przed wiekami rodziło się dawne carstwo bułgarskie, ta dolina obfitością swoją i żyznością ściągała hordy najeźdźców, tu niszczyły się nawzajem i mieszały się ze sobą plemiona i narody.

Po prawej ręce ciągnie się równolegle do drogi wysoki, dziki łańcuch Gór Rodopskich — za nimi już tuż niedaleko — jak ręką podać — do Turcji i do Grecji. Po lewej — stare bułgarskie góry: Stara Płanina. Niezwykła jest bujność tej ziemi, nie na darmo użyźniła ją krew tylu pokoleń. Gdzie okiem sięgnąć — pola kukurydzy, plantacje tytoniu, bawełny, winnice. A pomiędzy nimi topolowe gaje, wysmukłe i jak gdyby spowite festonami zieleni, owijającymi się wokół drzew. Topole — narodowe drzewa Bułgarii — swą strzelistością zdają się symbolizować pęd tego kraju w przyszłość, w nowe życie.

Na drodze raz po raz mijamy wozy chłopskie zaprzężone w białe, długorogie woły, mijamy chłopów na małych osiołkach, Cyganów, Turków. W miasteczku Ichtiman odbywa się targ. Długie rzędy garnków, mis i dzbanów zadziwiających przybysza odmiennością barw i kształtów. Nad miasteczkiem góruje wielki nowy gmach, czerwony jeszcze — nie otynkowany.

— Czy to fabryka? — pytam mego przewodnika, zdziwiony ogromem budynku .

— Nie, to szkoła. Każde miasteczko, każda wieś poczytuje sobie za punkt honoru, aby jej szkoła była w osadzie gmachem najpiękniejszym, najbardziej okazałym.

Pod Pazardżikiem, w połowie mniej więcej drogi do Płowdiwu, znajduje się wieś Zwieniczewo, jedna z licznych już w tej chwili w Bułgarii spółdzielni produkcyjnych. Spas Iwanow Damianow, przewodniczący rady wiejskiej, oprowadza mnie po spółdzielni i opowiada o warunkach, w jakich spółdzielnia żyje i pracuje. Na dwieście rodzin, zamieszkujących wieś, około stu rodzin przystąpiło do spółdzielni. Posiadają oni razem 170 ha gruntu, reszta, drugie sto rodzin nie zrzeszonych posiada 650 ha. Zdawałoby się, że dawni biedniacy i średniacy, którzy przystąpili do spółdzielni, w dalszym ciągu mają znacznie niższą stopę życiową, niż chłopi nie zrzeszeni. Okazuje się jednak, że kolektywna gospodarka, zwłaszcza przy uprawie intensywnych kultur, jak tytoń, bawełna, pieprz turecki, przy uprawie wyjątkowo racjonalnej, pod kontrolą agronomów, daje w efekcie o wiele lepsze wyniki, niż gospodarka jednostkowa. Tak na przykład chłopi prowadzący prywatną gospodarkę z jednego dekara gruntu otrzymują 4,5 tony pomidorów, 1,4 tony pieprzu czerwonego, od 130 do

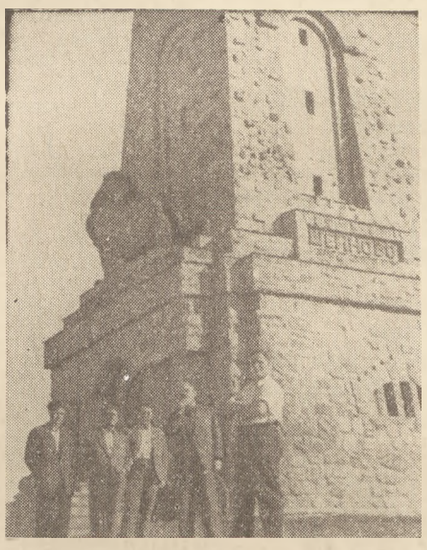

Pomnik bitwy z Turkami na Szipce

200 kg ryżu, 130 kg pszenicy, 120 żyta, 180 jęczmienia, podczas gdy spółdzielnia produkcyjna z tego samego obszaru otrzymuje 6 ton pomidorów, od 350 do 400 kg ryżu, 2 tony czerwonego pieprzu, 230 kg pszenicy, 200 kg żyta i 260 kg jęczmienia. Nic więc dziwnego, że przeciętny dochód członka spółdzielni jest stosunkowo wysoki, nie niższy niż przeciętna pensja urzędnika w mieście. Spółdzielnia w krótkim czasie dorobiła się już traktora, młocarni, dwóch żniwiarek, czterech siewników, maszyny do sianokosów, wybudowała nowe, wielkie budynki gospodarcze.

Już wymienione powyżej cyfry świadczą wyraźnie o podziale klasowym, jaki się zaznaczył we wsi przy tworzeniu spółdzielni. Walka klasowa we wsi trwa nieustannie; kułacy wiejscy — nie zapominajmy, że na tych bogatych ziemiach, gdzie podstawą uprawy nie jest zboże, lecz rośliny przemysłowe, kułakiem bywa nieraz chłop posiadający 5 lub 6 ha — robią wszystko, aby powstrzymać dopływ nowych członków do spółdzielni, aby jej szkodzić na każdym kroku.

— Nie dajemy się jednak — mówi Spas Damianow — bijemy ich gospodarczo na każdym kroku lepszą produkcją, lepszą organizacją.

— Bijemy ich przede wszystkim ideologicznie — dodaje przewodniczący spółdzielni, Jordan Jankow Pawłow, stary partyjnik od lat dwudziestu, uczestnik trzech powstań i partyzant w ostatniej wojnie.

— Bijemy ich siłą i zwartością ideologiczną — powtarza. — Tu nie chodzi o te hektary, które oni posiadają, nie jednego spośród tych z wieloma hektarami gruntu nie przyjęliśmy do naszej spółdzielni. Nasza przewaga polega na organizacji, na uświadomieniu sobie przez każdego członka, że pracując dla kolektywu — pracuje dla lepszej przyszłości, swojej i całego narodu.

Dwie młode, szesnasto, czy siedemnastoletnie dziewczyny sprzątają oborę. Zaglądam do pokoiku, w którym dyżurują nocą. Na stole, nakrytym haftowaną serwetą — książka. Sięgam ciekawie: „Burza" Erenburga.

— Mamy tę książkę omawiać na zebraniu Koła Młodzieży — objaśnia jedna z dziewcząt.

*

Bułgaria, kraj starej historii, jest krajem młodzieży. Od zmroku do późnego wieczora główną ulicę w każdym mieście zagarnia dla siebie młodzież. Zagarnia niepodzielnie i bez reszty — opanowuje nie tylko chodniki, ale i jezdnie: tak zwane korso, wieczorne spacery tłumów młodzieży głowa przy głowie, ramię przy ramieniu — to zwyczaj na południu Europy, na Bałkanach powszechny, prawie że narodowy.

W Płowdiwie pod wieczór auto z trudem przedziera się przez zwarte, roześmiane, powoli sunące przez całą szerokość ulicy, od muru do muru, tłumy. Ta sama młodzież, spacerująca bez celu, jak to czynili na pewno ojcowie i dziadkowie, kilka godzin temu dawała wzór starszym we współzawodnictwie pracy, uczyła się, pracowała społecznie.

Płowdiw, miasto rozsiadłe wokoło pięciu pagórków, Rzym bułgarski, jak wyraził się żartobliwie jeden z towarzyszących mi pisarzy bułgarskich, jest miastem głębokiej tradycji historycznej i młodego rozbudowującego się przemysłu. Co jesień na wielkich obszarach wystawowych nad rzeką Maricą odbywają się tu targi międzynarodowe. W pawilonie przemysłu bułgarskiego widzimy pierwsze lokomotywy i obrabiarki miejscowej produkcji, w pawilonie polskim — polski węgiel, polskie tkaniny i polskie książki.

A w starej dzielnicy Płowdiwu jedna z wąskich uliczek nosi nazwę ulicy Chopina. Stare, kilkusetletnie domki z charakterystycznymi wykuszami-balkonami. Na jednym z takich domków tablica z francuskim napisem: „Dans cette maison le poète Lamartine a reçu l'hospitalité au cours de son Voyage en Orient, juillet 1833".

— „Niestety — pomyślałem sobie — w Burgas, nad Morzem Czarnym, gdzie przebywał dwadzieścia dwa lata później Mickiewicz, nie ma ani śladu jego pobytu".

Na jednym z pagórków Płowdiwu wznosi się piękny pomnik wdzięczności Bułgarii dla Armii Czerwonej. Miasto się rozbudowuje. Rzym bułgarski staje się miastem socjalistycznym, a jego pagórki dostarczają znakomitego budulca dla nowych, pięknych społecznych gmachów.

*

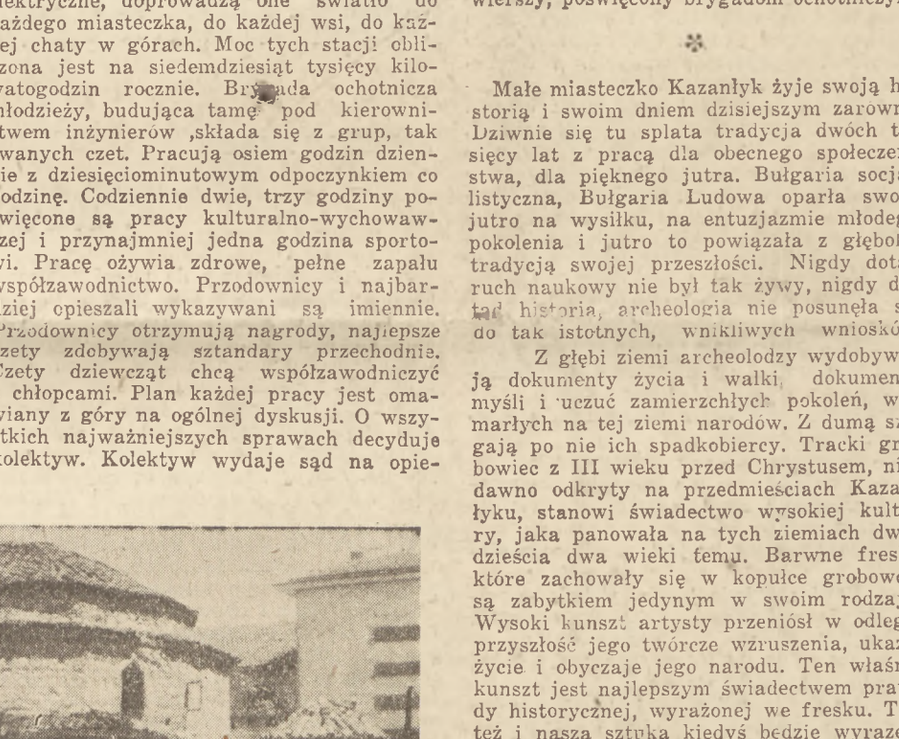

Trnowo

basenem o pojemności stu milionów metrów sześciennych wody. Kanały irygacyjne ożywią wiele dziesiątków tysięcy hektarów gruntów. Powstaną tu dwie wielkie stacje elektryczne, doprowadzą one światło do każdego miasteczka, do każdej wsi, do każdej chaty w górach. Moc tych stacji obliczona jest na siedemdziesiąt tysięcy kilowatogodzin rocznie. Brygada ochotnicza młodzieży, budująca tamę pod kierownictwem inżynierów ,składa się z grup, tak zwanych czet. Pracują osiem godzin dziennie z dziesięciominutowym odpoczynkiem co godzinę. Codziennie dwie, trzy godziny poświęcone są pracy kulturalno-wychowawczej i przynajmniej jedna godzina sportowi. Pracę ożywia zdrowe, pełne zapału współzawodnictwo. Przodownicy i najbardziej opieszali wykazywani są imiennie. Przodownicy otrzymują nagrody, najlepsze czety zdobywają sztandary przechodnie. Czety dziewcząt chcą współzawodniczyć z chłopcami. Plan każdej pracy jest omawiany z góry na ogólnej dyskusji. O wszystkich najważniejszych sprawach decyduje kolektyw. Kolektyw wydaje sąd na opieszałych, a w sądzie tym najwyższą karą jest wykluczenie z brygady.

Ale młodzież w brygadzie nie tylko pracuje. Praca nabiera wysokiego wychowawczego sensu wtedy, gdy jest związana ściśle z akcją kulturalno-wychowawczą. Młodzież w brygadzie redaguje gazetki ścienne, tworzy zespoły artystyczne. Na budowę przyjeżdżają pisarze i artyści, czytają młodzieży swoje utwory, rozmawiają z nią. Współpraca pisarzy z ochotniczymi brygadami, pracującymi w terenie, nie ogranicza się tylko do krótkich przyjazdów. Dwa lata temu młoda pisarka, tłumaczka „Pana Tadeusza", Błaga Dymitrowa, spędziła na budowie tamy cały miesiąc, pracując na równi ze wszystkimi. Dzięki temu powstał cykl wierszy, poświęcony brygadom ochotniczym.

*

Małe miasteczko Kazanłyk żyje swoją historią i swoim dniem dzisiejszym zarówno. Dziwnie się tu splata tradycja dwóch tysięcy lat z pracą dla obecnego społeczeństwa, dla pięknego jutra. Bułgaria socjalistyczna, Bułgaria Ludowa oparła swoje jutro na wysiłku, na entuzjazmie młodego pokolenia i jutro to powiązała z głęboką tradycją swojej przeszłości. Nigdy dotąd ruch naukowy nie był tak żywy, nigdy dotąd historia, archeologia nie posunęła się do tak istotnych, wnikliwych wniosków.

Z głębi ziemi archeolodzy wydobywają dokumenty życia i walki, dokumenty myśli i uczuć zamierzchłych pokoleń, wymarłych na tej ziemi narodów. Z dumą sięgają po nie ich spadkobiercy. Tracki grobowiec z III wieku przed Chrystusem, niedawno odkryty na przedmieściach Kazanłyku, stanowi świadectwo wysokiej kultury, jaka panowała na tych ziemiach dwadzieścia dwa wieki temu. Barwne freski, które zachowały się w kopułce grobowca, są zabytkiem jedynym w swoim rodzaju. Wysoki kunszt artysty przeniósł w odległą przyszłość jego twórcze wzruszenia, ukazał życie i obyczaje jego narodu. Ten właśnie kunszt jest najlepszym świadectwem prawdy historycznej, wyrażonej we fresku. Tak też i nasza sztuka kiedyś będzie wyrazem przeżyć i uczuć naszego pokolenia — pokolenia, któremu przypadł w udziale wzniosły los tworzenia nowej historii, historii piękniejszej i szczęśliwszej.

W małym miasteczku Kazanłyk malarz, archeolog i satyryk Czudomir założył miejscowe muzeum i bibliotekę. Archeolog Czudomir był kierownikiem prac przy odkopywaniu trackiego grobowca, opiekuje się zabytkami historycznymi miasta. Satyryk Czudomir — wyśmiewa przywary wrogów dnia dzisiejszego, i w ten sposób przerzuca pomost z przeszłości w teraźniejszość.

A późnym wieczorem w małym miasteczku Kazanłyk, gdzieś w bocznej uliczce natknęliśmy się na grupkę młodych ludzi, którzy siedząc na rozstawionych na środku jezdni krzesłach, głośno się nad czymś naradzali. Miasteczko o tej porze było zupełnie bezludne, to też widok tej grupki młodzieży był dość niezwykły. Zatrzymaliśmy się przy nich, pytając kim są i co tu robią. Byli to aktywiści miejscowego oddziału Związku Młodzieży Bułgarskiej.

— Zebraliśmy się tutaj — zaczął przewodniczący, były partyzant, a dzisiaj robotnik i działacz młodzieżowy — aby przedyskutować wyniki zebrań gminnych naszego związku. Każdy z nas prowadził dzisiaj jedno z takich zebrań. Każdy zetknął się w terenie z pracą organizacyjną, widział jej braki i osiągnięcia. Chcemy się podzielić teraz wrażeniami z dzisiejszych spotkań, aby wysnuć wnioski na przyszłość, aby skoordynować naszą pracę w terenie.

— Cóż wy robicie?

— Prowadzimy szeroką akcję polityczno-wychowawczą i oświatową. Doprowadziliśmy do likwidacji analfabetyzmu w całym okręgu. Pomagamy przy zakładaniu spółdzielni produkcyjnych. Wygłaszamy pogadanki i odczyty na aktualne tematy polityczne.

— No dobrze, ale dlaczego obradujecie w nocy i to jeszcze na środku jezdni? — zainteresował się ktoś z nas.

— Bo to jest posiedzenie sztabu na polu bitwy — odparł z uśmiechem przewodniczący. — Co chwila ktoś nowy przyjeżdża z terenu, przywozi meldunki z akcji — a na jutro musi być gotów plan dalszego działania. Jutro odbędą się zebrania wyborcze, musimy się dobrze przygotować. A to, że obradujemy na ulicy — dodał — no, to po prostu dlatego, że w lokalu jest zbyt gorąco, a o tej porze na ulicy nikomu nie wadzimy.

Nawiązała się ogólna rozmowa. Młodzi Bułgarzy ku naszemu zdziwieniu byli zna-

Stary meczet w mieście Marek

Pomiędzy pasmem Średniej Góry a pasmem Starej Płaniny, z przełęczy Strażata rozpościera się widok na słynną dolinę róż. Ale róż jest mało — do tej pory Bułgarzy nie zdołali naprawić tych wszystkich zniszczeń w plantacjach, jakich dokonali hitlerowcy. Na przełęczy, z której widać na horyzoncie najwyższy szczyt Bałkanu, Jumruk-Czał, co znaczy po turecku: górapięść, znajduje się wioska Kalofer. Stara chłopka grabi siano w towarzystwie dwóch chłopców. Pamięta ona czasy, gdy w górach Bałkanu kryli się powstańcy 1923 roku. Jeszcze teraz na twarzy jej pojawia się wzburzenie i nienawiść, kiedy mówi o wojskach króla Borysa, które „pacyfikowały" wieś bułgarską.

— Władza ludowa nauczyła mnie czytać i pisać, nauczyła mnie widzieć świat bogatszym i szerszym. Mój wnuk już nie będzie miał tych trosk, jakie ja miałam i jakie miał jego ojciec. Ma piękną szkołę, ma dobrego nauczyciela...

— Nauczyciel nie jest dobry — wtrąca jeden z chłopców. — Jest bardzo wymagający.

— Widzicie, panowie — śmieje się stara — dla niego wymagający nauczyciel jest zły. Ale Weselin, mój wychowanek, jest innego zdania o nauczycielu. A ja myślę zwyczajnie, że nauczyciel jest wtedy dobry, gdy uczeń jest dobry, i wtedy zły, gdy uczeń jest zły.

A na rzece Tundża, we wsi Kuprinka, pod miastem Kazanłyk, co znaczy duży kocioł, starsi koledzy chłopców z Kalofera budują tamę im. Georgi Dymitrowa. Tama projektowana była jeszcze w 1924 roku, ale dopiero Bułgaria Ludowa zdołała wcielić te projekty w życie, nadać im realny, trwały kształt. Jezioro, które tu powstanie, będzie

Dwa grobowce w Kazanłyku tracki (w głębi) i turecki z XVII w.

Wiejski dom w Bułgarii

komicie zorientowani w naszych polskich sprawach. Zadawali nam pytania tak szczegółowe, że często bylismy w kłopocie, jak mamy na nie odpowiedzieć. W tej rozmowie z młodzieżą bułgarską uderzyła mnie przede wszystkim jednolitość sposobu myślenia i reagowania na zjawiska społeczne całej młodzieży w państwach demokratycznych, niezależnie od tego, czy jest to młodzież bułgarska czy polska, węgierska czy czeska. Gdy rozmawiałem z młodymi Bułgarami, miałem wrażenie, że mówię z naszymi ZMP-owcami — ich sposób widzenia rzeczywistości, ocena zjawisk, sposób myślenia był taki sam, jak naszej młodzieży. Ten objaw świadczy, jak głęboko w świadomość młodzieży wniknęła idea socjalistyczna, jak w ciągu kilku lat zdołała ona urobić świadomość i wytworzyć nowy typ człowieka — budowniczego socjalistycznej przyszłości.

I znowu wracamy w przeszłość. W odległości 12 km od Kazanłyku stromą serpentyną, wijącą się wokoło góry, wdzieramy się na wysokość 1500 m, na przełęcz Szipki. Któż nie zna tej nazwy? Komu nie kojarzy się ona ze słynnym obrazem Wiereszczagina ilustrującym komunikat z placu boju: „Na Szipce bez zmian"? Szipka — to jeden z najgłośniejszych epizodów wojny rosyjsko-tureckiej w 1877 roku, wojny, która w konsekwencji przyniosła Bułgarii niepodległość. Głównodowodzącym wojsk rosyjskich, które bohatersko zdobywały, a potem przez wiele miesięcy broniły pozycji na Szipce wobec przeważających sił tureckich, był generał Hurko, późniejszy osławiony carski rusyfikator; dał się on dobrze we znaki narodowi polskiemu w czasie sprawowania urzędu generał-gubernatora warszawskiego. Oto dialektyka historii. W najczarniejszych latach ucisku carskiego w Polsce ta sama imperialistyczna polityka carskiej Rosji przynosi wolność Bułgarom. Jakże inaczej jest dzisiaj, gdy Związek Radziecki, gdy Armia Czerwona, która wyzwoliła zarówno Bułgarię jak Polskę, jest rękojmią wolności wszystkich narodów, oparciem dla wszystkich krajów miłujących pokój. Takie refleksje nieodparcie nasuwają się każdemu, kto zwiedza Szipkę. Ta dialektyka, która zrównała start historyczny wszystkich narodów widzących w przyjaźni ze Związkiem Radzieckim najpewniejszą drogę ku realizacji u siebie sprawiedliwości społecznej, — ta dialektyka wskazała jednocześnie najwierniejszą drogę pełni rozwoju narodowego we wszystkich republikach, budujących u siebie socjalizm.

⁂

Gabrowo, miasteczko o 27.000 mieszkańców, centrum przemysłu włókienniczego Bułgarii, jest jednocześnie miasteczkiem posiadającym stały teatr i odznaczającym się ożywionym życiem kulturalnym, które posiada tutaj głębokie tradycje. W Gabrowie powstało pierwsze w Bułgarii gimnazjum, założone w 1831 roku przez Wasyla Apriłowa. Na wystawie ściennych gazetek, urządzonej w gmachu teatru, oglądamy je razem z grupą dziewcząt, uczennic miejscowej szkoły. Profesor Dinekow, nasz przewodnik, przedstawia nas jako pisarzy polskich. Dziewczęta znają Sienkiewicza, Reymonta, Orzeszkową, czytały książki Wandy Wasilewskiej, wiedzą coś niecoś o polskiej poezji. Jeden z nas zadaje pytanie:

— A co wiecie o poezji bułgarskiej?

— O, wiemy dużo, znamy wiersze Botewa, Wazowa, a ze współczesnych Furnadżijewa — to nasz ulubiony poeta.

Poeta Furnadżijew stoi obok nas i uśmiecha się zadowolony.

— A potraficie coś zadeklamować?

— Oczywiście — odpowiadają dziewczęta i zaczynają recytować jeden z wierszy Furnadżijewa.

Poeta Furnadżijew jest w siódmym niebie.

— Bardzo pięknie, bardzo pięknie — mówi profesor Dinekow, — to jest właśnie autor tego wiersza, poeta Furnadżijew.

— Niemożliwe! — wykrzykuje jedna z dziewcząt. — Za stary!

Poeta Furnadżijew robi kwaśną minę i z zażenowaniem wodzi ręką po łysinie. W następnej jednak chwili wybucha serdecznym śmiechem i zaczyna przyjaźnie gawędzić z dziewczętami.

— No, no — powiada — widać, że jesteście prawdziwe Gabrowianki. Nie stać was było na pełną pochwałę, musiałyście jednak coś uszczknąć!

Tak jak i w każdym kraju, mieszkańcom pewnych miejscowości przypisuje się różne, często urojone cechy. Mieszkańcy Gabrowa słyną w Bułgarii ze swego skąpstwa — i stąd uwaga Furnadżijewa. Opowiadają, że gabrowianie przycinają kotom ogony, aby zimą zaoszczędzić w izbach ciepła, które ucieka, gdy kot wychodzi na dwór. Inna jeszcze anegdotka mówi, że koń dorożkarski, kupiony w Gabrowie pewnego razu uparł się i żadną miarą nie chciał iść naprzód. Bito go i popychano, a koń ani rusz! Wreszcie zniecierpliwiony dorożkarz zaczął mu odrywać kopyta od ziemi. Wtedy okazało się, że pod jednym z kopyt leżała jednolewowa miedziana moneta.

⁂

Trnowo, dawna stolica carów bułgarskich, najstarsze miasto w Bułgarii, wznosi się amfiteatralnie na stromej skale nad rzeką Jantrą. Pod okapami małych, czystych domków u stóp góry czerwienieją festony suszącego się pieprzu tureckiego. W ogródkach pomiędzy ostrymi jak miecze liśćmi kukurydzy niskie drzewka djuli, skrzyżowania gruszy z jabłonią, i błyszczące w słońcu grubymi, okrągławymi liśćmi figowce. W jednym z domków mieszka rodzina woźnicy, Christo Paskowa.

— Dawniej nie powodziło nam się najświetniej — mówi żona Paskowa. — Zarobki męża były dorywcze, przedsiębiorcy, u których furmanił, starali się urwać z nich, ile tylko mogli. Ale teraz, po wyzwoleniu, życie zmieniło się gwałtownie. Teraz mąż pracuje w spółdzielni i nie myśli o tym, że jutro może go czekać bezrobocie. Poprawiło się nam znacznie — córka też pracuje: jest krawcową. Ileż to wysiłku kosztowało nas do tej pory kształcenie syna! Teraz syn skończył gimnazjum, poszedł na politechnikę. Państwo daje mu stypendium, a my możemy żyć spokojnie — on i tak będzie inżynierem — dodaje z dumą żona woźnicy, Christo Paskowa, z niziutkiego, białego domku nad rzeką Jantrą.

Oto jak nowe życie wdziera się w najgłębsze szczeliny społeczeństwa, jak drąży je do głębi i znaczy niezatartym śladem.

**Seweryn Pollak**

*(Dokończenie w następnym numerze)*

**LEONARD BORKOWICZ**

*Dwudziestopięciolecie twórczości Władysława Broniewskiego*

# O Broniewskim w Berezie

Nie, Władysław Broniewski nie był w Berezie. Tak się złożyło, że on, który był stałym bywalcem sanacyjnych więzień, nie przeszedł przez „miejsce odosobnienia" w Berezie Kartuskiej. Ale wiersz Broniewskiego był z nami w Berezie.

Zaczęło się od lekcji dobrego wychowania. Kiedy jeden z nowoprzybyłych towarzyszy, biegnąc od przeszło trzech godzin między dwoma szpalerami policjantów, po którejś tam pałce upadł na ziemię berezkiego parku a na ustach jego ukazały się bąble bladoróżowej śliny, usłyszeliśmy krzyk „komendanta" Pytla: „Ach, to takiej was uczono kultury: pluć na ziemię"... I na leżących posypały się pałki. Tak nas w maju 1936 roku przyjęto w Berezie.

A potem karcer. „Siedem dni samotnego zamknięcia o chlebie i wodzie w pierwszym, trzecim, piątym i siódmym dniu i ze zmniejszeniem racji żywnościowej do połowy w dni pozostałe". W tej mokrej jamie nie można usiąść i nogi robią się jak z gumy. Oparty o ścianę mierzę czas uderzeniami policyjnego buta o drzwi ciemnicy: wtedy krzyczę: Jestem! I wtedy też, w pierwszym tygodniu pobytu w obozie przypomniał się ten wiersz:

**Cóż, że depczą? Cóż, że są siłą?**
**Cóż, że miażdżą kolbami twarz?**
**W mur głowami! Serca przez wyłom!**
**W dni Bastylię zwycięski marsz.**

Wiosenna orka. Zaprzężeni w pługi i brony, przesuwają się więźniowie pomiędzy gęsto rozstawionymi policjantami. Dzień jest niezwykle upalny i grube płaszcze z nieczesanej wełny są na nas już całkiem mokre. Od czoła pada komenda: „stój". Policjant, przy którym zatrzymujemy się, leniwie wymierza jeszcze przepisową pałkę i czeka tak jak i my na to co będzie. Zbiórka w dwuszeregu a potem bieg. Po sześciu godzinach orki ta setka ludzi biegnie już resztkami sił. Słyszę koło siebie urywany oddech Julka Suchego, obok ciężko stąpa Kazik Witaszewski. Gdzieś z tyłu słychać, jak ktoś zwalił się na ziemię. W gardle nie ma już ani kropli śliny, powietrze wpadając do otwartych ust wywołuje piekący ból. Pada komenda: „padnij!" Łoskot padających ciał przerywa nowa komenda: „powstań, biegiem marsz!" I bieg zaczyna się na nowo. Po chwili prowadzący „ćwiczenia" posterunkowy Bernyciak zatrzymuje więźniów, każe przynieść wiadro wody i ustawić je daleko w polu: „Pić się wam chyba zachciało. No to bieg do wiadra: kto pierwszy dobiegnie, dostanie wodę, reszta popatrzy, jak to mu smakuje". Miarowym, równym krokiem ruszamy w kierunku wiadra. Każdy ogląda się na towarzyszy po bokach i dobiegamy wszyscy razem. „A solidarność, no tę, to ja z was wybiję. Z powrotem biegiem marsz!"

## PŁOCK — BRONIEWSKIEMU

W dniu 29 września b. r. odbyła się w Płocku, rodzinnym mieście Władysława Broniewskiego uroczystość nadania poecie dyplomu honorowego obywatela miasta. W czasie akademii, poświęconej twórczości Broniewskiego, wobec licznie zebranych przedstawicieli płockiego społeczeństwa i młodzieży odczytany został m. in. wiersz ucznia jednego z liceów płockich ob. Zdzisława Romanowskiego:

### POWITANIE BRONIEWSKIEGO

Chwała pieśni co do boju rwie —
co jest równie ofiarna jak walka.
Twój prosty i piękny wiersz
służy masom,sprawie i partii!

Wiersze Twoje dziś wszędzie dochodzą,
wszystkim ludziom stają się bliskie —
słowa nowego wodzu!
uczysz kochać nas i o socjalizm bić się.

„Nie poemat to, opowieść prawie";
i już szmerów nie słychać w świetlicy.
To z Twym słowem przyjechał na wieś
artystyczny zespół robotniczy.

Nowych domów wznosi się mury.
Twoje wiersze to trwałe cegły —
wielki budowniczy kultury
proletariackiej, powszechnej.

Stare miasto, Twe rodzinne miasto
Gwarem młodych głosów dzisiaj dźwięczy.
Nowe życie tutaj wyrasta
pieśń Twa sprawia, że rośnie prędzej!

Serca nasze dla sprawy biją.
Jak ją kochać Twój wiersz nas uczy.
Mów nam jeszcze! Twe słowa żyją!
W rytm Twych słów nasza młodość kroczy.

**Zdzisław Romanowski**

Wiem, że w tym biegu nie tylko ja recytowałem w myśli te słowa:

**W pierś niech biją młotem — [nie pęknie.**
**Zatnij usta, choć w ustach krew...**
**Jeszcze będzie jaśniej i piękniej,**
**będzie radość i będzie śpiew.**

Wiersz Broniewskiego towarzyszył nam wszędzie, w karcerze i w betoniarni, przy kompoście i na placu ćwiczeń. A kiedyś, przed pierwszym maja, już 1937 roku, kiedy karcery były przepełnione i sadzano nawet po kilku ludzi do jednej celi ktoś szepnął mi: „A pamiętasz 1 maj 1928 roku i czegośmy się przed zebraniem związkowym uczyli?" Tak, pamiętałem. Chodziło wtedy o to, aby szczególnie mocno te słowa w wierszu zarecytować:

**kiedy mówię te słowa, o n a t u jest [i słyszy,**
**on szepnie towarzyszom: „jutro wieco [na Wolskiej"**
**jutro palcem wskaże własnych [towarzyszy.**

Bo siedział szpicel na sali i wiedzieliśmy, że:

**od ósmej tu czatuje, jak zmora, [jak wizja,**
**za chwilę we drzwiach stanie [z oddziałem policji:**
**„Ręce do góry! Milczeć! stać [w miejscu!**
**Rewizja!"**

A kiedy na „karnej" celi numer 15 w rocznicę zamordowania naszych towarzyszy Germaniskiego i Mozyrki zaciskały się pięści bereziaków, gdzieś z kąta mrocznej celi rozległy się słowa:

**Towarzyszu więzienny, trwaj,**
**więcej woli, nadziei, hartu,**
**z tobą cały walczący kraj,**
**z tobą masy robocze i partia.**

Nie zdziwi się więc towarzysz Broniewski, że w tych pięknych dla nas wszystkich dniach jego jubileuszu pozwoliłem sobie kilka nieudolnych słów dodać od tych, którym pieśń jego przez całe życie towarzyszyła.

**Leonard Borkowicz**

**ANDRZEJ BRAUN**

# „Moja pieśń mnie zdradzić nie może..."

Kiedy zbliżałem się do małej fabryczki ceraty, położonej nieco z boku od osady, nic nie nastrajało do optymizmu. Droga była bagnista, czarna, jakgdyby pokryta węglowym miałem. Między licznymi kałużami wiła się ścieżka dla rowerów, wąziutka i kręta. Wiatr zimny, pełen jeszcze wilgoci po niedawnym deszczu, buszował w strzelistych topolach wzdłuż toru kolejowego. Sklepy rzadkie w nędznych chałupach wzdłuż drogi reprezentowały filie rozmaitych spółdzielni z Piotrkowa. Prywatnych sklepików nie było widać. Widok czerwonych zabudowań fabryczki, ukrytych w połowie w sosnowym zagajniku, opustoszała ulica wiejska i senna stacyjka, skojarzyły mi się natychmiast ze wspomnieniem nie tak dawnym, kiedy to tłum najciemniejszych sklepikarzy, kierowany ręką proboszcza na tej może ulicy masakrował drągami studentów historii sztuki. Nie można znaleźć miejscowości bardziej odpowiadającej pojęciu ciemnogrodu. Gorzkowice, Kamieńsk — czyżby tu leżało owo „jądro ciemności" anno domini 1950? Portier przy bramie nie bardzo wiedział o co chodzi i nieufnie dopominał się delegacji służbowej. Dostrzegłem coprawda żółty afisz z zapowiedzą „Wieczoru literackiego", rozdarty i powiewający na wietrze, ale tytuł prelekcji całkowicie spłukały deszcze. Powtarzam więc, że nic nie nastrajało do optymizmu. Dopiero dyrektor, energiczny, ruchliwy, natchnął mnie nieco życiem. Ludzie zeszli się rzeczywiście wprost od produkcji. Kiedy widziałem ich przed sobą w zatłuszczonych kombinezonach, pachnących klejem i gumą, palących gęsto papierosy, ich twarze uważne, a jednocześnie roztargnione, poczułem się pewniej. W pierwszym rzędzie ciasnej, brudnej świetlicy, obwieszonej ubogo plakatami, odwiedzanej tylko w wypadku jakichś nagłych zebrań, siedziała gromadka dzieci. Z sąsiedniej wartowni weszło, łomocząc butami, kilku strażaków, przybranych operetkowo w wielkie, świecące hełmy. Robotnicy najchętniej siadali na oknach, blisko drzwi. Kiedy mówiłem im o popularności Broniewskiego, o tym, że jego poezja żyje, często bezimiennie, o tym, że wpływa bezpośrednio na losy poszczególnych ludzi, odczuwałem wstydliwe uczucie niepewności. Nie dlatego, żeby to wszystko nie było prawdą — miałem tysiączne okazje już dotychczas przekonać się o tym, jako o fakcie. Ale czułem skrępowanie, wygłaszając te pewniki w atmosferze sennego miasteczka, gdzie wszystko, łącznie z zapowiedzią mego odczytu przez przewodniczącego rady zakładowej, który sformułował jego temat tak jakby to dotyczyło stratosfery, wszystko wskazywało, że ludzie nie tylko nie wiedzą co to jest wieczór literacki, ale w ogóle nie rozumieją słowa literatura. Czułem, że wmawiana z tupetem tym właśnie robotnikom, odeszłym dopiero co od warsztatów, znajomość Broniewskiego w tym samym środowisku trąci fałszem.

— „Gdzieś w 1945 roku" — mówiłem — „można się było zetknąć często z faktem, że na zebraniu w świetlicy fabrycznej czy na wsi, młody robotnik, lub amatorski zespół recytacyjny wygłaszał wiersze:

„Śpiewam radość człowieczej mocy,
kiedy tworzy, kiedy wyzwala,
kiedy dumnie światu wśród nocy
prometejskie ognie zapala..."

Kiedy ktoś przypadkowo zapytał — czyje to są wiersze? — nikt z recytujących nie wiedział. Były to wiersze, powszechnie znane, wiele ich trwało w pamięci, krążyło bezimiennie, jak zwroty przysłowiowe, czy piosenki, jeszcze z lat przedwojennych, z dzieciństwa".

„Również w 1945 roku" — mówiłem dalej — „jedna z młodych aktywistek łódzkiego Akademickiego Związku Walki Młodych, kiedy pytałem ją, w koleżeńskiej rozmowie, co ją skłoniło ostatecznie do wstąpienia w szeregi akademickiej organizacji lewicowej, przyznała się, że właśnie wiersze Broniewskiego. Sądzę, że mówiła szczerze. Oczywiście koleżanka ta pochodziła z inteligenckiej rodziny i miała mniej okazji odczuć w swym, krótkim jeszcze, życiu to, co nazywamy uciskiem człowieka i walką klasową..."

Dalej mówiłem im, że poezja Broniewskiego stała się niejako piosenką ludową, przysięgą czy hymnem. Słuchali mnie w milczeniu. W pewnej chwili wzięła mnie ochota sprawdzenia tego co mówię.

— Może ktoś z towarzyszy zna jakieś wiersze Broniewskiego, to proszę powiedzieć. Bo to, wiecie, nie chciałbym tylko mówić jakie te wiersze są, o czym Broniewski pisał. To nie wystarczy. Niech słowa poety przemówią same za siebie. Broniewski napisał wiele utworów. Zebrane jego poezje, to gruba książka. Widzicie ją? Ale chciałbym, ażebyście pokazali, że nie tkwią one zamknięte w tej książce, ale żyją i krążą wśród tych, dla których powstały. Będzie to jednocześnie najlepszy hołd złożony poecie w dwudziestopięciolecie jego twórczości.

Wahanie na sali trwało krótko. Wychodzili jeden po drugim starzy, o łysiejących głowach i młodzi, o powierzchowności małomiasteczkowych elegantów. Mówili głosem zachrypniętym często, zacinając się i przekręcając niektóre słowa, albo donośnym i patetycznie wiecowym tonem. „Śpiewali" trochę przy akcentach, ale widać było, że rozumieją treść i nie mówią czysto mechanicznie. Młoda dziewczyna teatralizowała nadmiernie głosem i gestykulacją, ale kiedy mówiła o Waryńskim

„...i skonał i wrócił do kraju..."

drżał jej głos bynajmniej nie teatralnie, ale szczerze, po ludzku. Recytował przewodniczący Rady Zakładowej wśród hucznych braw. Byłem oszołomiony i klaskałem aż mi ręce puchły.

— „Widzicie, towarzyszu" — mówił mi dyrektor na odchodnym — „z takimi rzeczami do nas przyjeżdżajcie. Tak prosto, po robociarsku".

Od tej pory chodziłem wzruszony tym wzruszeniem, jakiego nie mogą dostarczyć najwspanialsze premiery, najbardziej oficjalne sukcesy. Zrozumiałem poraz pierwszy naprawdę, że Broniewski to rewolucyjny poeta. Że Broniewski zmienił nie tylko treść poezji polskiej. Zmienił także jej funkcję, zmienił jej los.

W Karsznicach, w wielkim mieście kolejarzy padał deszcz. Porywisty jesienny wicher rwał na strzępy żółte afisze. Długo kłóciliśmy się z przedstawicielami Związku Zawodowego Kolejarzy na temat złego zorganizowania widowni. Masówki na temat kampanii przewozów jesiennych miały pierwszeństwo. Przenikliwe gwizdki parowozów dolatywały zza okien. Do kolejarzy przyjechały dzieci, furmankami, z odległej wsi. Były mokre od deszczu, różowe i uroczyste. Wiedziały, że usłyszą o Broniewskim. Może spodziewały się zobaczyć Broniewskiego i sprawiłem im zawód. W każdym razie kiedy mówiłem o „małym Icku z ulicy Pawiej" siedemset dzieci siedziało w absolutnej ciszy. Nikt nie zaskrzypiał krzesełkiem. Dzieci nie przygotowały wierszy Broniewskiego. Przypomniały je sobie. Kolejarze, wracający z masówek w parowozowniach nie wiedzieli, że będę mówił o Broniewskim. Organizacja miejscowa poważnie nawaliła. Ale ludzie nieprzygotowani, nie mający czasu ani okazji czytać wierszy latami, wychodzili na moją zachętę ot tak, wprost z sali, wprost od roboty i mówili, mówili, mówili. Wiersze. Niewiadomo kiedy nauczone, nie wiadomo gdzie zdobyte. Czytali je i powtarzali na nocnych zmianach, na długich, zimowych trasach pędzących pociągów.

„Bufory zlać krwi oliwą.
Oto ręce, co tory omiotły.
Pędź — dziejów lokomotywo
Sercami palimy w kotłach."

Mały berbeć powtarzał gromko:

„Drogi zburzone
miasta w ruinie
historia
gnie *nasz* i łamie..."

Dzieci przywiozły kwiaty. Dwadzieścia ogromnych bukietów dostaliśmy z nieśmiałą prośbą o doręczenie Władysławowi Broniewskiemu. Ze ściśniętym sercem wędrowaliśmy obładowani kwiatami, nie wiedząc, czy przez pięć dni objazdu dowieziemy je do Warszawy.

W Zduńskiej Woli na widok naszej dorożki pełnej czerwonych kwiatów rozeszła się niewiadomo skąd pogłoska, że jesteśmy „delegacją z Moskwy". Kiedy w sali PZPB zapowiedziałem tytuł kolejnego wiersza „Elegia na śmierć Ludwika Waryńskiego", usłyszałem jak w pierwszym rzędzie młoda dziewczyna powiedziała do swej koleżanki: „O matko, jakie to piękne..." I przez cały czas odczytywania wiersza widziałem jej wilgotne oczy wlepione we mnie. Mówiąc:

„posępny jak mur Schlüsselburga,
głęboki jak dno owej ciszy,
zza krat, z więziennego podwórka
dobiega go śpiew towarzyszy..."

słyszałem każde zdanie podpowiadane szeptem przez ludzi siedzących na sali. Słuchacze znali wiersz na pamięć, krępowali się tylko powiedzieć go publicznie ze sceny. Pamiętam, że przy słowach:

„kochani, ja muszę do kraju..."

jakaś robotnica z dzieckiem na ręku wyszła nagle, pociągając nosem.

I wszędzie, gdziekolwiek przyjechałem, mimo że ludzie do ostatniej chwili nie wiedzieli o czym będę mówił, na moją propozycję, ażeby ten, kto zna jakiś wiersz Broniewskiego, zarecytował go obecnym, wychodzili robotnicy i chłopi, młodzież i starsi, deklamując „Komunę paryską" i „Pionierom", „Do towarzysza więźnia" i „Zagłębie dąbrowskie", „Bagnet na broń" i „Ulicę Miłą".

*(dokończenie na str. 4)*

# BRONIEWSKI I MY

Kilka dni temu przeczytałem w jednym z pism codziennych notatkę o przygotowaniach do obchodu 25-lecia twórczości Władysława Broniewskiego i głębiej może niż kiedy indziej zastanowiłem się nad twórczością poety.

Poezja Broniewskiego bije rozumnym optymizmem, uczy nas na przykładzie bohaterów jego wierszy, jak postępować, by być godnym miana członka ZMP, kontynuatora najlepszych tradycji KZMP, wiernego pomocnika KPP — tej partii, w której kręgu wyrósł Broniewski oddając jej i jej kontynuatorce, Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej swój trud poetycki.

25-letnia praca Broniewskiego, to 25 lat głoszony poetycko światopogląd socjalistyczny, upodabniający jego wiersze do komunikatów z frontu walki klasowej, z frontu bitwy o socjalizm.

Broniewski — dzięki swojej bezkompromisowej walce z przedwojenną burżuazją i kapitalistami, w nieugiętej obronie praw robotnika — jest dla nas dzisiaj symbolem wiary w zwycięskie wykonanie Planu 6-letniego, w zwycięstwo socjalizmu w Polsce.

Wznieśmy do góry, jak czerwony sztandar — poezję Broniewskiego. Niech stanie się ona, jak dla młodzieży radzieckiej poezja Majakowskiego, codziennym pokrzepieniem i mobilizacją do wspaniałych czynów budownictwa socjalizmu. Niech uczy internacjonalizmu i miłości do człowieka pracy.

**Lud —**
**co przed wrogiem**
**karku nie schylał,**
**dźwiga za przęsłem przęsło.**
**Filar pod niebo!**
**Łuki na filar!**
**Wzwyż!**
**W dal!**
**W Socjalizm!**
**W zwycięstwo!**

Od chwili, kiedy zapoznałem się z twórczością Broniewskiego, poezja jego stała się dla mnie wzorem i drogowskazem. Skłania mnie do radosnej i z przeświadczenia płynącej pracy w służbie ZMP i w budowie podstaw socjalizmu, uczy postępować tak, jak postępowali rewolucjoniści przemawiający w jego wierszach.

Poezja Broniewskiego jest nam bliska, jest naszym codziennym przyjacielem. Jej mobilizująca rola uczyni z niej codzienną potrzebę naszego życia.

Poezję Broniewskiego powinien poznać każdy ZMP-owiec!

Jubileusz największego w Polsce poety-rewolucjonisty, zbiega się z wysunięciem jego osoby do Międzynarodowej Nagrody Pokoju. Nagroda Pokoju dla Broniewskiego będzie obok naszej czci, godnym ukoronowaniem jego wysiłku.

Broniewski bowiem wypowiada poetycko myśli człowieka walczącego o pokój, głosi zwycięstwo sprawiedliwości i wolności ludom uciskanym całego globu ziemskiego.

**Zdzisław Słowik**
uczeń kl. XI Państw.
Szkoły ogólnokształcącej
w Miechowie.

MAREK FRITZHAND

# NARODZINY FILOZOFII MARKSISTOWSKIEJ

Książką ze wszech miar godną zalecenia, jest nowa praca prof. Schaffa, poświęcona genezie i rozwojowi filozofii marksistowskiej*). W czasie, gdy nasza rodzima produkcja filozoficzna wciąż jeszcze kuśtyka na szczudłach idealizmu, z satysfakcją odnotowujemy każdą rzetelną filozoficzną pozycję marksistowską. Zwłaszcza, gdy odznacza się ona takimi popularyzacyjnymi i poznawczymi walorami, jak książka Schaffa. Jest ona poważnym wkładem w dzieło popularyzacji filozofii marksistowskiej, a zarazem rzuca snop światła na niezbadaną dotąd dziedzinę historii wpływów filozofii marksistowskiej w Polsce, torując drogę dalszym krytycznym wysiłkom badawczym. A to ostatnie jest tym ważniejsze, że filozofia marksistowska w Polsce była intensywnie fałszowana i wypaczaną przez agenturę burżuazji w ruchu robotniczym, przy czym fałsze te i wypaczenia dawały znać o sobie nawet i po wyzwoleniu.

### KSIĄŻKA SCHAFFA A „WSTĘPY DO FILOZOFII"

„Narodziny i rozwój filozofii marksistowskiej", zwłaszcza wzięte łącznie z po raz czwarty już wydanym „wstępem do teorii marksizmu", tworzą coś w rodzaju tak popularnego w burżuazyjnej literaturze „wstępu do filozofii". Niezaprzeczalna wartość takiego „wstępu" polega na tym, że wprowadza on czytelnika w problemy filozofii, daje mu ogólny przegląd jej zagadnień i ich historycznych rozwiązań, jest źródłem merytorycznych, terminologicznych i bibliograficznych informacji. Otóż książka Schaffa jest takim właśnie „wstępem do filozofii", ale nie do jakiejś abstrakcyjnej „filozofii w ogóle", lecz do konkretnej filozofii marksistowskiej.

Burżuazyjne „wstępy do filozofii" są idealistyczne, eklektyczne, obiektywistyczne — i w rezultacie sieją zamęt w umysłach nieprzygotowanych czytelników. Łudzą ich istnieniem jakichś „prawd filozoficznych", stojących ponad życiem i nauką. Wychodzą z pozycji burżuazyjnego liberalizmu, każącego traktować poszczególne kierunki filozofii niemal jako równouprawnione, sprowadzając w ten sposób z drogi poszukiwań rzeczywistej, obiektywnej, niewyspekulowanej przez filozofów prawdy. Oczywiście ten ich liberalizm ma ściśle wytyczone granice; odnosi się on jedynie do kierunków idealistycznych, ginąc bez śladu w stosunku do materializmu, zwłaszcza w jego marksistowskim, dialektycznym ujęciu. Materializm dialektyczny to przecie wróg „abstrakcyjnych prawd", wróg wszelkiej obskuranckiej spekulacji... a nade wszystko wróg przemocy i wyzysku kapitalistycznego, którym służy burżuazyjna filozofia.

Tym większa jest więc wartość książki prof. Schaffa, że umiał on wykorzystać dydaktyczne walory burżuazyjnych „wstępów do filozofii", przezwyciężając zarazem ich fałszywy, mistyfikujący charakter. „Powstanie i rozwój filozofii marksistowskiej, to wstęp do filozofii marksizmu, ale równocześnie... do burżuazyjnych „wstępów do filozofii". Wyrażając się ściślej, to wprowadzenie czytelnika w takie rozumienie filozofii i jej spraw, które, odsłaniając jej klasowy charakter, pozwala spojrzeć na zagadnienia i kierunki filozofii z prawdziwie naukowego, marksistowskiego stanowiska.

Książkę tę, która jest, jak się zdaje, jedyną w literaturze marksistowskiej próbą podręcznikowego wyłożenia powstania i historycznych losów materializmu dialektycznego, należy więc uważać za ogromnie pomocne dla adeptów marksizmu wprowadzenie do samodzielnych studiów nad filozofią marksistowską. Jest ona również nader użyteczna dla czytelników zaawansowanych, gdyż ułatwia im uporządkowanie i usystematyzowanie nabytej już wiedzy.

Niesposób w tym miejscu pominąć ważnej roli, jaką w omawianej książce odgrywają cytaty z dzieł klasyków marksizmu-leninizmu. Autor posługuje się nimi często i umiejętnie, traktując je nie jako zwykłą dekorację, lecz jako poważne narzędzie dydaktyczne i wychowawcze. Zastępują one poniekąd wypisy filozoficzne, zaznajamiając czytelnika z nieprześcignionymi w lapidarności i ostrości klasycznymi sformułowaniami marksistowskimi. W kontekście książki nawet czytelnicy o małej kulturze filozoficznej z łatwością zrozumieją nastręczające niefilozofom pewne trudności, nieodzowne jednak dla głębszego zrozumienia marksizmu, sformułowania, jak np. rewolucyjne dla filozofii tezy Marksa o Feuerbachu. Wreszcie dzięki właściwemu operowaniu cytatami autor zaszczepia czytelnikowi pełen pietyzmu stosunek do klasyków; uczy go w trudnych wypadkach zwracać się do nich po pomoc i poradę. Filozofia marksistowska nie jest dogmatem, jest metodą badań i wytyczną działania. Klasycy zaś właśnie dają nam wspaniały wzór twórczego stosowania tej metody w najbardziej zawikłanych problemach i sytuacjach; pokazują, jak dzięki jej zastosowaniu śmiało i słusznie rozstrzyga się najtrudniejsze zagadnienia teorii i praktyki.

„Narodziny i rozwój filozofii marksistowskiej" składają się z czterech części, z których trzy pierwsze stanowią zwartą i odrębną całość. Pierwsza—omawia przedmiot filozofii marksistowskiej, druga — narodziny tej filozofii, a trzecia — jej historyczne losy. Można mieć zastrzeżenia co do kolejności tych części. Zdaje się, że ze względów konstrukcyjnych i dydaktycznych część pierwsza powinnaby się raczej znaleźć na drugim miejscu. Określenie przedmiotu i charakteru filozofii marksistowskiej było produktem dłuższej ewolucji poglądów jej twórców. Dlatego najsłuszniejszym konstrukcyjnym rozwiązaniem byłoby przedstawienie tej sprawy na tle — i w wyniku — rozwoju filozoficznych poglądów Marksa i Engelsa. Inna rzecz, że wysuwając na czoło książki zagadnienie przedmiotu filozofii, autor poszedł wydeptaną przez tradycyjne „wstępy do filozofii" drogą, zdobywając dzięki temu odrazu całą uwagę tych czytelników, którzy właśnie z takich „wstępów" czerpali swą dotychczasową wiedzę filozoficzną.

### MATERIALIZM DIALEKTYCZNY — ŚWIATOPOGLĄD NAUKOWY

Jakąż niespodzianką jednak dla tego pokroju czytelników — a będzie ich zapewne dużo — musi być treść wywodów prof. Schaffa. Okazuje się z nich bowiem, że cała przedmarksowska filozofia zajmowała się spekulacjami na tematy, niedostępne w owym czasie dla nauki. Filozofia była zawsze orężem ideologicznym klas panujących i służyła ich interesom. Spekulatywny charakter umożliwiał jej fałszowanie rzeczywistości w myśl potrzeb tych klas. Dopiero potężny rozwój nauk szczegółowych oraz pojawienie się proletariatu, a więc klasy społecznej, zainteresowanej w obiektywnym naukowym poznaniu rzeczywistości, stworzył przesłanki dla powstania prawdziwie naukowej filozofii, filozofii jako *naukowego światopoglądu*. Takim naukowym światopoglądem jest jedynie materializm dialektyczny. Ma on za swój przedmiot najogólniejsze prawa rozwoju całej rzeczywistości, to znaczy przyrody, społeczeństwa i myśli. Nie jest on jednak — słusznie podkreśla prof. Schaff — „po prostu nauką o najogólniejszych prawach rozwoju całej rzeczywistości, nie jest wyłącznie *poznaniem* praw tego rozwoju. Materializm dialektyczny jest taką nauką o prawach rozwoju rzeczywistości, która służy *przekształceniu* rzeczywistości. Na tej jedności teorii i praktyki, na tym aktywnym charakterze materializmu dialektycznego opiera się jego rewolucyjne znaczenie w historii filozofii." Nienaukowa, spekulatywna filozofia istnieje jeszcze po dziś dzień jedynie i wyłącznie dlatego, że podtrzymuje ją przy życiu kapitalizm. Użyteczna mu jest bowiem jako broń przeciw materializmowi dialektycznemu, a więc przeciw walczącym o wyzwolenie masom ludowym.

— „Jakże — powie czytelnik, który parał się już filozofią marksistowską — przecież u klasyków marksizmu znajdujemy sentencje świadczące o ich nieprzejednanym stosunku do filozofii potępianej przez nich bez ogródek?

Na pytanie to czytelnik ów znajdzie wyczerpującą odpowiedź w książce prof. Schaffa. Jedną z zalet tej książki jest właśnie fakt, że nie unika ona „trudnych" zagadnień i pomaga czytelnikom w rozwiązaniu nękających ich wątpliwości. Odnośnie do postawionego pytania, prof. Schaff wykazuje, że negacja filozofii przez klasyków marksizmu tyczyła się jedynie starej, spekulacyjnej filozofii, filozofii „w dotychczasowym znaczeniu tego wyrazu" (Engels). Niezrozumienie tego stanu rzeczy wywołało nawet u niektórych filozofów radzieckich, jak u Enczmana, tendencje likwidatorskie w stosunku do filozofii. Tendencje te jednak jako bezzasadne i szkodliwe, zostały dawno skrytykowane i przezwyciężone przez naukę radziecką.

Innym przykładem chwytania przez Schaffa „byka za rogi" jest jasne i przekonujące postawienie przezeń sprawy klasowości i partyjności filozofii marksistowskiej. Jeśli sami przyznajecie się do partyjności — wołają, rozdzierając szaty mieszczańscy filozofowie — tym samym wydajecie na siebie wyrok śmierci filozoficznej, filozofia bowiem rozwija się i może się rozwijać jedynie w walce z stronniczymi poglądami i osądami!

Hola, panowie — odpowiada Schaff — nie ma takiej filozofii, która by nie była w swej istocie filozofią klasową i partyjną. Tylko, że wy ten klasowy i partyjny charakter swej filozofii obłudnie ukrywacie, gdy marksizm podnosi go do godności zasady. Marksizm jest „*jedyną* ideologią, która może tak tę sprawę postawić". W przeciwieństwie bowiem do ideologii klas eksploatatorskich jest on „nie tylko ideologią klasy uciemiężonej, stanowiącej ogromną większość społeczeństwa, lecz również ideologią, która jest orężem w walce o obalenie społeczeństwa klasowego, a wraz z nim i klasowej nauki, klasowej ideologii".

Zanalizowawszy dokładnie pojęcia obiektywności, klasowości i partyjności, Schaff stwierdza: „*Marksizm - leninizm właśnie dlatego, że jest nauką klasową, nauką wyrażającą interesy i dążenia proletariatu — najbardziej postępowej klasy społeczeństwa kapitalistycznego, jest NAJBARDZIEJ POSTĘPOWĄ I OBIEKTYWNĄ nauką doby obecnej, nauką, posiadającą nieograniczone możliwości rozwoju.* W tym sensie więc klasowość marksizmu nie tylko nie popada w sprzeczność z jego obiektywnością, naukowością, lecz, wręcz przeciwnie, jest tej naukowości i obiektywności najtrwalszą i najsilniejszą gwarancją." Partyjność filozofii marksistowskiej — polegająca na konsekwentnej obronie materializmu dialektycznego i zdecydowanej walce z wszelkimi przejawami idealizmu, czyli na służbie interesów mas ludowych — jest koniecznym rezultatem jej klasowości.

Wyłuszczenie sensu terminów „partyjność, klasowość" i „obiektywność" pozwoliło autorowi dosadnie wykazać, że proletariacka partyjność filozofii jest najlepszą poręką jej obiektywności. Podobnie precyzyjne analizy pojęciowe są gęsto rozsiane w książce. Innym przykładem takiej analizy może być uchwycenie przez Schaffa dwóch znaczeń słowa „system". „System" oznacza zarówno zespół twierdzeń będących ostateczną i raz na zawsze daną wiedzą o świecie, jak i zespół twierdzeń wiążących się logicznie w jedną zwartą całość. To rozróżnienie pozwala wyjaśnić wątpliwości, czy można mówić o filozofii marksistowskiej jako o systemie. Oczywiście, w pierwszym, spekulacyjnym znaczeniu nie jest ona systemem, w drugim natomiast bezwątpienia jest, i tak właśnie należy rozumieć np. zdanie Lenina, gdy mówi, iż „Marksizm — to system poglądów i nauki Marksa."

Jest jednak w książce kilka potknięć w sformułowaniach, które należy w następnym wydaniu usunąć. Najważniejsze z nich to powiedzenie, że „Marks i Engels byli duchowymi uczniami Hegla". Powiedzenie to jest zwyczajnym przejęzyczeniem się, bo, jak jasno wynika z książki, autor ma tu na myśli jedynie pierwszy etap rozwoju umysłowego twórców marksizmu. Ale właśnie na tle słusznych sformułowań, będących w książce regułą, tym przykrzej rażą takie wyjątki.

### PRZECIW WULGARYZACJI MARKSIZMU

Inną z zalet omawianej książki jest to, iż autor unika wszelkiej wulgaryzacji i ma oczy szeroko otwarte na złożoność spraw tego świata. Wykazując np. klasowy charakter nauki burżuazyjnej jako *całości*, wskazuje jednocześnie, że „byłoby fałszywym postawieniem zagadnienia, gdybyśmy jako burżuazyjną czy proletariacką chcieli określać jakąś opisową dziedzinę parazytologii albo teorię leczenia raka radem, albo teorię konstrukcji żelazo-betonowych, albo wreszcie metodę posługiwania się tablicami logarytmicznymi... ta dziedzina, stanowiąc część składową gmachu nauki, niezależnie od jej kierunku i nastawienia w tej tak *izolowanej postaci* nie podpada pod kryterium klasowe".

Podobnie omawiając narodziny filozofii marksistowskiej, Schaff nie ogranicza się do analizy społeczno-ekonomicznego podłoża marksizmu, lecz wiele uwagi poświęca również środowisku ideologicznemu, z którego ten się wyłonił. W związku z tym autor, chroniąc czytelnika przed uproszczeniami i symplifikacją marksizmu, obszernie omawia zagadnienie względnej samodzielności ideologii oraz tłumaczy, w jakim sensie materializm współczesny jest dialektyczną negacją całej poprzedniej filozofii. Materializm ten jest prawdziwym przewrotem w filozofii, nową, niezrównanie wyższą jakością w jej rozwoju. Nie oznacza to jednak, że przekreśla on mechanicznie cały dorobek przeszłości. Negować, powiada Żdanow, to „nie znaczy powiedzieć po prostu „nie". W negacji mieści się też dziedziczenie, oznacza ono wchłonięcie, krytyczne przetrawienie i zjednoczenie w nowej, wyższej syntezie wszystkiego przodującego i postępowego, co już zostało osiągnięte w historii myśli ludzkiej."

Adam Schaff

Bardzo pouczająco są przedstawione w książce Schaffa historyczne losy filozofii marksistowskiej. Autor pokazuje, jak zdrada marksizmu przez prawicowy, nacjonalistyczny nurt w ruchu robotniczym doprowadziła do faktycznego zapanowania w drugiej Międzynarodówce oportunistycznego rewizjonizmu. Zdrajcy klasy robotniczej musieli przeciwstawić się materializmowi dialektycznemu i próbować stworzyć „własną" filozofię, która by była teoretycznym usprawiedliwieniem ich zdrady. W ten sposób powstała „filozofia" rewizjonistyczna, będąca „funkcją interesów burżuazji", „teorią agentury burżuazji w ruchu robotniczym". Filozofia ta była „zawsze odbiciem głównych tendencji burżuazyjnej ideologii", żywcem przeniesiono te tendencje do ruchu robotniczego i zależnie od nich przybierała takie lub inne postaci. Postaci takich było wedle autora pięć: rewizjonizm neokantowski, empiriokrytyczny, neohegłowski, „ortodoksyjne" centrum II Międzynarodówki (Kautsky) i współczesny rewizjonizm „totalny". Każdą z tych postaci rewizjonizmu prof. Schaff omawia oddzielnie, nie szczędząc jej krytycznych i demaskatorskich uderzeń. Przed oczami czytelnika przesuwa się cała galeria odrażających „teoretyków" rewizjonizmu, od neokantysty Bernsteina poprzez skrajnego idealistę Bluma do jawnych faszystów De Mana i Izarda.

Autor pokazuje również przedstawicieli marksistowskiego skrzydła ruchu socjalistycznego, którzy, jak Mehring, lub Plechanow, stanęli do walki ideologicznej w obronie marksizmu. Nie byli oni jednak konsekwentnymi przedstawicielami filozofii marksistowskiej, ponieważ sami częściowo ulegali wpływom oportunizmu i rewizjonizmu. Krytyczne omówienie przez Schaffa poglądów Mehringa i Plechanowa jest bardzo na czasie, wprowadza bowiem czytelnika do lektury ich książek, które są ostatnio — i słusznie — wydane w poważnych nakładach w języku polskim.

### LENINOWSKO - STALINOWSKI ETAP FILOZOFII MARKSISTOWSKIEJ

Rozgromu rewizjonizmu i odrodzenia rewolucyjnego marksizmu dokonał dopiero leninizm. „Jeśli rewizjonizm stanowi *wypaczenie* teorii rewolucyjnego marksizmu, odejście od jego zasad — pisze Schaff — to leninizm jest jego twórczą kontynuacją, pogłębieniem i rozwinięciem w nowych warunkach historycznych." Autor daje następnie wartościową charakterystykę leninowsko-stalinowskiego etapu rozwoju filozofii marksistowskiej. Etap ten znamionuje rozwinięcie zasady partyjności filozofii, zdecydowana krytyka wszelkich odmian idealizmu, rozwinięcie marksistowskiej teorii poznania i dialektyki, analiza źródeł ideologicznych marksizmu, filozoficzne uogólnienie nowego materiału przyrodoznawstwa i epokowe odkrycia w dziedzinie materializmu historycznego.

W osobnym rozdziale autor omawia bezcenny wkład, jaki wniósł do filozofii marksistowskiej Stalin. „Istnieje — mówił Stalin — marksizm dogmatyczny i marksizm twórczy. Ja stoję na gruncie tego ostatniego." „Tym *twórczym* marksizmem — pisze Schaff — kieruje się Stalin w całej swojej działalności: zarówno praktycznej, jak i teoretycznej. W tym antydogmatyzmie tkwi główna siła jego dialektyki, właściwy sens jego filozofii."

Słusznie też zwraca autor uwagę na fakt, że podobnie jak u Lenina, tak i u Stalina, ich poglądów filozoficznych należy szukać nie tylko w ich dziełach, lecz także w ich praktycznej, politycznej działalności. Istotnie, zapoznawać się z filozofią Stalina można i trzeba nie tylko z jego książek, lecz także z świetnych kart epoki stalinowskiej.

Książka Schaffa zaznajamia czytelnika również z mało u nas znaną historią rozwoju filozofii w ZSRR. Widać, jak tam w intensywnej walce z wypaczeniami z prawa (mechaniści) i z lewa (deborinowcy) przy bezpośredniej pomocy Partii i Stalina, który uczy, że materializm dialektyczny to „światopogląd partii marksistowsko-leninowskiej" — filozofia marksistowska wciąż krzepnie, pogłębia się i wznosi na wyższy poziom. Widać, że walka ta to nie mędrkowania filozofów, ale walka o lepszą przyszłość własnego kraju i całego świata. Widać, jak krytyka i samokrytyka skutecznie spełnia funkcję dźwigni nieustannego, postępowego rozwoju filozofii radzieckiej.

### O „WPŁYWACH FILOZOFII MARKSISTOWSKIEJ W POLSCE"

Dyskusja o kosmopolityzmie, toczona w Związku Radzieckim, posłużyła autorowi jako odskocznia do omówienia pulsujących żywą aktualnością spraw, jak kosmopolityzmu, internacjonalizmu i patriotyzmu. Najbardziej jednak, wbrew pozorom historyczności, aktualną częścią książki prof. Schaffa, obejmującą niemal jedną trzecią całości, jest część czwarta, poświęcona „historii wpływów filozofii marksistowskiej w Polsce". Aktualność tej części książki polega na tym, że rozwiewa ona mity związane z takimi postaciami, jak Abramowski, Brzozowski, Kelles-Krauz i Ludwik Krzywicki, oraz pokazuje, jak polski ruch robotniczy wbrew teoretykom burżuazyjnej agentury przezwyciężał własne błędy i coraz bardziej nasycał swą teorię elementami marksistowsko-leninowskiej filozofii.

Walka prof. Schaffa z poglądami Abramowskiego, Brzozowskiego i innych — to nie walka z duchami, lecz z upicrami pokutującymi jeszcze w teraźniejszości. Autor toczy tę walkę nie z przeszłością, lecz z jej zjadliwymi pogrobowcami, walczy o oczyszczenie drogi rozwoju filozofii marksistowskiej w Polsce z kamieni rzuconych przez teoretyków zdrady ruchu robotniczego. Ze względu na koncentrację ataku na falsyfikatorach marksizmu, część czwartą książki równie dobrze można by nazwać „historią wypaczeń myśli marksistowskiej w Polsce". Zdaje się nawet, że ta ostatnia właśnie nazwa byłaby najodpowiedniejsza, pozwoliłaby bowiem uniknąć jakichkolwiek nieporozumień. Trzeba tu jednak zaznaczyć, że prof. Schaff nie ogranicza się do walki z mistyfikacjami marksizmu, ale — może zbyt ogólnikowo, lecz stale — wskazuje jednocześnie na ciągły wzrost marksistowsko-leninowskiej świadomości w polskim ruchu robotniczym, dokonujący się za sprawą jego lewicowego nurtu. Tylko przywódców tego nurtu, jak np. Różę Luksemburg, Lenin, mimo ich błędy, uważał za prawdziwych socjalistów.

Badania prof. Schaffa nad historią wpływów lub — jeśli kto woli — wypaczeń filozofii marksistowskiej w Polsce w całej pełni zasługują na miano pionierskich. Poza cenną pracą Pawła Hoffmana o Brzozowskim nie ma bowiem u nas, jak dotąd, żadnych w tej dziedzinie poważniejszych marksistowskich opracowań. Nota bene, Schaff nie ogranicza się do rzucenia jasnego światła na „teorie" polskich mistyfikatorów marksizmu i wytyczenia generalnej linii ofensywy, ale jednocześnie inspiruje młodych uczonych do specjalnych prac monograficznych.

Wartość czwartej części „Narodzin i rozwoju filozofii marksistowskiej" podnosi jeszcze fakt, że autor, z racji polemiki z mistyfikatorami, wyjaśnia szereg ważnych zagadnień, jak obiektywizmu, stosunków między bazą a nadbudową, rodowodu idej społecznych, granic stosowalności materializmu historycznego itp. Część ta również uczy skutecznie posługiwać się orężem marksizmu w walce z wszelkimi wypaczeniami i odchyleniami od marksistowsko-leninowskiej teorii. Zasługuje ona na osobne wydanie i osobne omówienie.

*

W batalii o zwycięstwo socjalizmu w Polsce poważne miejsce zajmuje front ideologiczny. Centralnym odcinkiem tego frontu jest walka o popularyzację i upowszechnienie filozofii marksistowskiej. Książka Adama Schaffa dobrze służy tej walce i jest dlatego książką na czasie, godną gorącego polecenia.

**Marek Fritzhand**

*) Adam Schaff: „Narodziny i rozwój filozofii marksistowskiej", Książka i Wiedza, 1950, str. 403.

ROMAN BRATNY

## W TYM SAMYM ŚWIECIE

**Dziecko uczy się grać na pianinie**
**sonatę Beethovena.**
**Nim ten dzień słoneczny minie**
**12 zbrodniarzy uwolnią z więzienia**
**w tym samym świecie.**

**Ale, dziecko, twojej gry strzeże**
**niejedno niemieckie imię**
**— geniusz niemiecki to przecież**
**Beethoven, Marks, Engels.**

**Zagładol Nie przejdziesz!**
**Strzegą pociągów wojny rozhukanych**
**Imiona naszych przyjaciół,**
**ramiona naszych przyjaciół**
**w świecie tym samym.**

**Raymonde Dion pod pociąg się rzuciła,**
**by zahamować broni przypływ.**
**Uwaga! Czy będzie żyła?**
**Patrzmy na ręce maszynisty!**

**Czuwają ręce robotnicze.**
**Amerykańskie pociski**
**nauczy milczeć**
**— Raymonde Dion — pokoju robotnica.**

**Dziecko, ćwicz wprawki, ucz się muzyki,**
**którą stworzył nasz Niemiec,**
**jak ja wprawek klasowej nienawiści**
**uczę się każdym wierszem.**

**Cała młodość naszej ziemi,**
**cała tej ziemi muzyka**
**w internacjonalistycznej nadziei**
**w zwycięstwo robotnika.**

**Dziecko w dalekiej Polsce**
**grające na fortepianie**
**jest twoją córką, Raymonde,**
**dzieckiem Partii Rozstrzeliwanych.**

**Jedność świata — jaka piękna —**
**jak gra — posłuchajcie —**
**polskie dziecko ocalone przez Francję**
**muzykę Niemca.**

ANDRZEJ MANDALIAN

## ŚWIERCZEWSKI

**Człowiek mieszkał na kuli ziemskiej,**
**na jej północnej połowie,**
**na jej drogach, trudnych i męskich,**
**wesoły i mądry człowiek,**

**człowiek o twardym brzmieniu,**
**który wiedział: jak i dlaczego.**
**I pamięta droga, co prowadzi od Lenino,**
**ciężki krok Świerczewskiego.**

**I spalonym oliwom, i rudym sjerrom**
**w dalekim kraju Katalonii**
**jeszcze śni się głos generała Waltera**
**podnoszący bataliony.**

**Sława tym, co żyli bez fałszu,**
**i ginęli o litość nie żebrząc**
**niech pomniki ich będą najtrwalsze**
**a wiersze o nich najlepsze.**

**Lecz nam, których wiodła Nike,**
**trzymającym w gardle przysięgę**
**o Walterze mówią nie pomniki,**
**i nie wiersze, i nie księgi,**

**ale sztandary, które zawisną**
**ponad nami, rozdarte, rude,**
**zmartwychwstałe miasto nad Wisłą**
**budujące domy i ludzi.**

**Towarzysze**
**to nic, że honorowe warty**
**nic, że gazet żałobne szpalty,**
**wiemy,**
**czerwony Madryt**
**do ataku poprowadzi Walter.**

**Wiemy**
**na przyszłej ziemi**
**gdzie nikt nie będzie się schylał przed nikim,**
**każdy człowiek będzie mu pomnikiem**
**i każde słowo wierszem.**

RYSZARD MATUSZEWSKI

# O WIERSZACH WIKTORA WOROSZYLSKIEGO

OILE u takich poetów pokolenia, które zadebiutowało po wojnie, jak Różewicz, Kubiak, Bratny czy Wirpsza, mamy do czynienia z powolnym procesem upolitycznia się ich utworów, przezwyciężania widocznych wpływów ideowo obcej estetyki w formie ich wierszy, o tyle u Woroszylskiego świadomość ideowo-polityczna zdecydowanie wyprzedza rozwój artystyczny i wpływa nie tyle na zmianę i przekształcanie się już do pewnego stopnia urobionego typu wyobraźni poetyckiej, ile od początku ją kształtuje w oparciu o świadomie wybrane, bliskie poecie ideowo wzory.

Oczywiście ta droga od jasnej i wyraźnej postawy politycznej do osiągnięć pisarskich, będących jej artystycznie ukształtowanym odpowiednikiem, nie jest również łatwa i nie przebiega u poety bezbłędnie. Pierwszy zbiór poetycki Woroszylskiego pt. „Śmierci nie ma", zawierający najwcześniejsze, z lat 1945—1948 pochodzące utwory poety, jest wymownym tego dowodem. Stanowi on — z jednej strony — pozycję godną niewątpliwie uwagi na tle innych równoczesnych debiutów poetyckich, jako wyraz wyżej wspomnianej, bojowej postawy politycznej poety, z drugiej strony — świadczy w wielu wypadkach o tym, że dla stanowiska tego Woroszylski nie umie jeszcze znaleźć właściwej formy artystycznej.

O ważkości ideowej pierwszego zbioru wierszy Woroszylskiego mówi jego bogata i wyraźnie zarysowana w poszczególnych utworach problematyka polityczna. Mamy tu zagadnienie walki z okupantem i problem wyzwolenia, ujęte odrazu — abstrahuję tu od krytycznej oceny artystycznego wykonania zamierzeń poety — jako problemy najściślej klasowe (wiersze „O rówieśnikach krótko", „Pierwszy dzień stworzenia"). Mamy zagadnienie walki z podziemiem („Pamięci kolegów"), z kułactwem („Ballada o byłym sołtysie Janie"), z międzynarodowym imperializmem („List Polaka, byłego uczestnika wojny domowej w Hiszpanii do towarzysza w Paryżu", „Rosa Lee"). Mamy problem solidarności międzynarodowego proletariatu (w tymże „Liście Polaka") oraz problem ideowego oparcia się o teorię marksistowsko-leninowską i o wielki wzór ideowy Związku Radzieckiego („Dnieprostroj"). Mamy problem socjalistycznego stosunku do pracy („Ballada o czterech krosnach") i socjalistycznego współzawodnictwa („Na odwrocie nekrologu Wincentego Pstrowskiego"). Dalej, zagadnienie funkcji poezji socjalistycznej („Poezja") i walki o przezwyciężenie reliktów ideowego zbłąkania rówieśników poety („List intymny"). Wreszcie mamy ogólnie pojętą walkę o socjalistyczną postawę w życiu, w pracy, w uczuciach („O miłości gawęda chaotyczna", „Toast w noc świętojańską", „Jeszcze o nieśmiertelności"). Sam tytuł tomu pięknie mówi o zasadniczym motywie przewijającym się przez karty zbioru. „Śmierci nie ma" — znaczy to: żyje i zwycięża idea, umarli przekazują ją żywym, wciąż dalej i dalej, do ostatecznego zwycięstwa, któremu na imię — społeczeństwo bezklasowe, komunizm. Tym właśnie słowem, akcentem najgłębszego przekonania i wiary, „najnieśmiertelniejszą pointą" kończy się tom.

Sam ów nagi rejestr tematów i zagadnień, którym poświęcone są wiersze z pierwszego zbioru Woroszylskiego, świadczy o kierunku zainteresowań i postawie poety, zwłaszcza jeśli się zważy, że składające się na ów tom utwory pisane były przezeń w latach 1945—1948, a więc w okresie poważnego zamącenia perspektyw toczonej przez naszą literaturę walki klasowej, w okresie silnego oddziaływania prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia w naszej polityce kulturalnej. Pisane były przy tym przez poetę bardzo jeszcze młodego (rok urodzenia Woroszylskiego 1927).

Całą strukturę swojej poetyckiej wyobraźni Woroszylski stara się od początku swej twórczości, idąc śladem najlepszych tradycji poezji rewolucyjnej, podporządkować całkowicie generalnej linii walki klasowej, sam jak najczynniej się w niej angażując. Nie ma też w jego wierszach występującego często u poetów epoki przełomu jakiegoś rozdwojenia na lirykę „społeczną" i „osobistą", nie ma jakiejś wyłącznej, „prywatnej strefy poetyckiej", gdyż nawet wiersze określone przez poetę jako wiersze „o miłości" mają za treść wyznaczenie tej miłości jej „politycznej" funkcji.

Czy takie założenia twórcze są, zasadniczo rzecz biorąc, z punktu widzenia walki o nowe oblicze naszej przyszłej poezji założeniami słusznymi? Czy nie „zubożają" one — zgodnie z często spotykanymi jeszcze u nas twierdzeniami— „horyzontów" tej poezji, nie zwężają granic poetyckiego odczuwania świata? Twierdzenie, że tak jest, wynika niewątpliwie z przerzucania odpowiedzialności za zdarzającą się niekiedy niedoskonałość techniczną poezji opartej o słuszne ideowo założenia — na samą istotę owych założeń. Jest konsekwencją fałszywego, idealistycznego poglądu na świat, który w poezji „metafizycznej", „ponadczasowej", widzi odbicie spraw „ducha", bądź kształtującego całą rzeczywistość, bądź jakąś jej odrębną strefę, a w poezji „politycznej" tylko jedną z licznych, możliwych odmian twórczości lirycznej.

Dla marksisty problemy walki klasowej, a więc problemy polityczne, obejmują całokształt życia społecznego, znajdując odbicie w każdej z dziedzin działalności i w każdej sferze uczuć ludzkich. Polityczność poezji jest zatem — wbrew twierdzeniom idealistów — koniecznym warunkiem jej humanistycznej pełni i — w zasadzie — każde polityczne, historyczne i klasowe ujmowanie obrazu świata jest z samej swej istoty o wiele prawdziwszą, bliższą rzeczywistości formą ujęcia tego obrazu niż wizja świata zlepiona z najkunsztowniej nawet wyrażonych, subiektywistycznych nastrojów i odczuć w oparciu o błędny, idealistyczny system poznawczy.

Odróżnić trzeba oczywiście pełnię właściwych perspektyw widzenia rzeczywistości formą ujęcia tego obrazu niż wiktórymi operuje poeta w dążeniu do przedstawienia tego, szerszego czy węższego, wycinka rzeczywistości, który ogarnia. Zadania poety mającego ambicję pojmować świat po marksistowsku są trudniejsze od zadań poety idealisty. Miary spraw, które porusza, musi szukać nie w sobie, w swoim indywidualnym przeżyciu, ale w otaczającej go rzeczywistości. Wyrażając swe wzruszenia, musi mieć na względzie ich właściwą hierarchię, którą otaczająca go rzeczywistość klasowa, historyczna mu dyktuje. Musi być realistą. W kraju powstającego socjalizmu, w zetknięciu z socjalistyczną rzeczywistością, musi dążyć do tego, by stać się realistą socjalistycznym.

Czy zasady poetyki realizmu socjalistycznego dadzą się jakoś skodyfikować? Powtarza się często piękną, wspaniałą dewizę: rewolucyjna treść, narodowa forma. Możemy wskazać bez trudu na świetne przykłady utworów poetyckich o treści niewątpliwie rewolucyjnej, o formie niewątpliwie narodowej. Możemy pewne artystyczne cechy tych utworów wychwycić w toku krytycznej analizy, oznaczyć, przyporządkować. Możemy określić w bardzo ogólnym przybliżeniu, jakim cechom utwór piękny i prawdziwie, bez fałszu ujmujący obraz świata, winien odpowiadać. Stwierdzić, że powinien w obrazie tym dostrzegać znamiona rozwoju i walki, ujmować wydarzenia w ich aspekcie klasowym, przemawiać do czytelnika w ten sposób, aby budzić w nim uczucia sprzyjające owej walce o przyszły, lepszy świat socjalizmu. Ale nie możemy i nie chcemy precyzować dalej. Nie możemy ustalić nawet raz na zawsze tego, jaki rodzaj uczuć pozostaje w przymierzu z naszą postawą walki, gdyż już to jest elementem historycznie zmiennym. Pojęcia optymizmu i pesymizmu ujęte w sposób absolutny nie zdadzą się na nic. Tak samo nie zda się na nic ustalanie kanonów formy. Nie możemy i nie chcemy ustalać recept na dobrą, rewolucyjną poezję. Możemy wskazywać na przykłady utworów, które do nas, jako do czytelników i uczestników toczącej się wokół nas walki, przemówiły, uzasadniać, dlaczego przemówiły. Możemy z drugiej strony usiłować wytłumaczyć sobie i innym, dlaczego pewne, ożywione często najlepszymi rewolucyjnymi intencjami utwory poetyckie przemówić do nas nie zdołały. Wydaje się przy tym także pewne, że spraw rewolucyjnej treści i narodowej formy przy takiej analizie nie wolno od siebie oddzielać. Rewolucyjna treść — to coś więcej, aniżeli bojowy, z rewolucyjnych wydarzeń zaczerpnięty temat wiersza. To również, i przede wszystkim, sprawa wywołanego wzruszenia, w którym rolę zasadniczą odgrywa zastosowana i odpowiadająca tematowi forma.

Wiktor Woroszylski, którego wiersze posłużyły tu za odskocznię do paru ogólniejszych uwag jest, mimo kilku wydanych zbiorów, raczej poszukującym dopiero swojej właściwej formy rewolucyjnym poetą. O poważnych usterkach artystycznych utworów składających się na pierwszy jego tom poetycki wspomnieliśmy wyżej. Nie będziemy ich szerzej analizować, mając pod ręką nowsze, zdecydowanie lepsze wiersze poety. Usterki wczesnych wierszy Woroszylskiego określilibyśmy najogólniej jako echa ekspresjonizmu i formalizmu, o ile nie złożyć ich na karb po prostu pewnej jeszcze nieporadności technicznej autora. Przejawiały się te błędy w nie zawsze zręcznych, niekiedy paradoksalnych metaforach, w pewnej dowolności kojarzenia obrazów wywołujących niekiedy efekty wręcz sprzeczne z zamierzonymi, jak np. w wierszu o Pstrowskim, czy „Liście Polaka do towarzysza w Paryżu".

Mniej więcej równocześnie z tomem „Śmierci nie ma" Woroszylski wydał również dwa inne zbiory poetyckie: poemat „Noc Komunarda", poświęcony postaci Jarosława Dąbrowskiego i zasługujący niewątpliwie na uwagę jako ambitne podjęcie dużego historycznego tematu, oraz zbiór wierszy satyrycznych „Weekend mr. Smitha".

W poemacie o bohaterze Komuny Woroszylski niewątpliwie trudnościom tematu nie sprostał. Poprowadzenie wątka akcji — w przeciwieństwie do większości utworów z tomu „Śmierci nie ma" — prawie regularnym wierszem zmusiło autora do pożytecznego skądinąd, choć nie zawsze zwycięskiego borykania się z wędzidłem strofy, oraz do koncesji na rzecz rozwiązań nie zawsze zadawalających ucho, często konwencjonalnych. Warto jednak zaznaczyć, że utwór posiada strofy zdecydowanie ładne np. dwa ostatnie fragmenty, a zwłaszcza zakończenie poematu, przenoszące myśl czytelnika z czasów Komuny na współczesność, gdzie siłę ideowego wyrazu szczęśliwie oddaje lekka, potoczysta strofa:

**...Patrz generale; znowu łuną**
**zawisły fronty nad Warszawą.**
**O krok przez Wisłę — wolny szaniec,**
**sztandar i walka, pieśń i prawo.**
**Harmonia, tocząc się wesoło,**
**dźwiękiem wydłuża ramię chłopca...**

Wiktor Woroszylski

**...Nie, ta melodia nie jest obca**
**tobie paryski komendancie.**
**Pamiętasz — dawne sny powstańcze...**
**Czy lata płyną? Chmury płyną...**
**Patrz, generale: znowu łuną**
**zawisły fronty nad Warszawą.**
**Chłopiec ma mundur spod Lenino.**

**Harmonia drży. Melodię zmienia.**
**Wybucha mocą. Żarem tchnie.**
**Dla ciebie grają, generale,**
**tę pieśń, co mózgi rozpłomienia.**
**W wielkim ułożył ją zapale**
**przyjaciel twój, Eugène Pottier.**

**Dopóki walka, póty trwanie.**
**Dopóki walka, znaczy: wrocę.**
**Wrócimy wszyscy: martwi, niemi.**

**Wystrzeli brzask — i wieki runą,**
**zgaśnie historia, ból ustanie.**
**Nad Wisłą, tak jak nad Komuną,**
**grzmi hymn niezłomnej rewolucji:**
**Wyklęty powstań ludu ziemi!**

Z nowszych, nieobjętych oddzielnymi zbiorami utworów Woroszylskiego na uwagę zasługują przede wszystkim, jako większe całości — cykl wierszy „Pierwsza linia pokoju" drukowany w „Kuźnicy" w listopadzie 1949 r., oraz poematy „Świerczewski" i „Świt nad Nową Hutą" („Sztandar Młodych" 22 lipca 1950 r.). Wiersze te cechuje nadal kluczowy i zasadniczy charakter podejmowanej przez poetę tematyki, szybkie i czujne reagowanie na przebieg walki toczonej przez obóz socjalizmu i pokoju, usilne dążenie do wzoru partyjnej postawy twórczej.

W każdej z trzech wymienionych pozycji poetyckich Woroszylski ustosunkowuje się artystycznie do któregoś z najbardziej zasadniczych problemów ideowo-politycznych: w „Świerczewskim" do problemu bohatera rewolucji i do tradycji rewolucyjnej, kontynuując niejako i rozwijając linię zapoczątkowaną „Nocą komunarda"; w „Świecie nad Nową Hutą" — do problemu socjalistycznego budownictwa; w cyklu „Pierwsza linia pokoju" — do szeroko pojętych zagadnień międzynarodwoej walki o pokój. Znajduje tam miejsce zarówno wyraz gorącego, uczuciowego stosunku do Kraju Rad, jak głębokie akcenty międzynarodowej solidarności z innymi, wolnymi i uciskanymi narodami, m. in. piękne ujęcie problemu stosunku do bojowników proletariatu niemieckiego („Po aresztowaniu Maxa Reimanna").

W nowych wierszach Woroszylski zdecydowanie wyzwala się od dawnych błędów w obrazowaniu. Są one przeważnie o wiele prostsze i czytelniejsze, oczyszczone z formalistycznych chwytów, paradoksalnych metafor, bardziej bezpośrednie. Bezpośredniość tę osiąga Woroszylski często drogą świadomej rezygnacji z rygorów wersyfikacyjnych, co ułatwia mu stosowanie najzupełniej swobodnego toku frazy wierszowej, zgodnej z wewnętrzną dynamiką zdań. Ma to swoje strony dodatnie: ułatwia eliminację zbędnego werbalizmu, typu „strofkarskiego"; być może jednak iż ujemną stroną braku rygorów wiersza jest niekiedy nieuzasadniona moim zdaniem skłonność do stylu „gawędziarskiego", do pozostawiania zbędnej „waty" słownej w rodzaju:

**...Lata — to ich właściwość —**
**idą — ...**

**...Tak, wiesz sam, człowiek starszy,**
**sterane zdrowie...**

**...ja z tych, co to**
**— wiecie — nad Nysą,**
**no i stoi się tam i trwa...**
(wszystkie cytaty z poematu „Świerczewski").

**...No cóż przyjacielu:**
**przeciwieństwa napotkasz różne...**
(„Świt nad Nową Hutą").

Ma to zapewne w zamierzeniu poety zbliżyć język jego wierszy do języka mowy potocznej, uczynić je w ten sposób przystępniejszymi, celu tego jednak nie spełnia. Każdy nawet najprostszy język poetycki, np. język wierszy Broniewskiego, różni się w swej strukturze zasadniczej od języka, jakim posługujemy się w mowie potocznej, różni się przede wszystkim zwartością i kondensacją. Brak tych przymiotów utrudnia, a nie ułatwia apercepcję czytelnikowi, zwłaszcza z formą poetycką nieobytemu, podobnie jak regularny wiersz stroficzny jest dlań z reguły łatwiejszy i przystępniejszy niż wiersz nieregularny, wymagający o wiele większego wyrobienia ucha zarówno od słuchacza i czytelnika, jak od samego poety, który wierszem wolnym musi zawsze tak się posługiwać, aby jego rytm robił wrażenie czegoś absolutnie koniecznego i jedynie w danym wypadku słusznego a nie dowolnego.

Łączy się to oczywiście z treścią wiersza, gdyż przekonanie odbiorcy o tym, że każde słowo w wierszu jest konieczne i niezastąpione, wynika zazwyczaj z jakiejś sumy wiedzy o życiu, z prostej mądrości zawartej w słowach oszczędnych i zwartych. Dlatego np. treściwy, celowy tok opowieści o śmierci gen. Świerczewskiego lub o młodym zetempowcu w poemacie „Świt nad Nową Hutą" robi wrażenie przekonywujące:

**... — Śmierć żołnierza,**
**śmierć komunisty**
**nigdy nie bywa samotna.**
**Kochałem sprawy i ludzi,**
**zostają sprawy i ludzie,**
**są ze mną aż do końca,**
**dlatego nie trudno umrzeć.**
**Kto o wolność walczył, był ze mną,**
**niosłem wolność niewolnym ziemiom,**
**gdzie się żyło, gdzie się walczyło,**
**każda ta ziemia jest ze mną;**
**i ta rosyjska, żyzna, szumiąca wspólnym**
**[chlebem.**
**i ta błotnista, lejami poryta, nad Ebrem,**
**i ta, choć nieraz daleka,**
**zawsze najbliższa, najdroższa,**
**gdzie krew i pot i męka,**
**kamienista gleba Mazowsza...**
(Z poematu „Świerczewski" fragment pt. „Śmierć").

**...Przyjechali niektórzy,**
**myśleli: cudo,**
**nauka,**
**technika,**
**fach.**
**A tu powiadają:**
**Noś cegły. Buduj.**
**Mechanika później.**
**Fakt.**

**...Bolą**
**kości**
**od pracy niemądrej,**
**a tu ciągle**
**ładuj i ładuj**
**Cóż dziwnego,**
**że niejeden**
**niedoszły monter**
**myśli przeżuwa**
**niełądne.**

**Znowu**
**cegły**
**i belki**
**i wapno —**
**do mózgu Zdzicha też**
**wkrada się niechęć.**
**A możeby tak**
**na wszystko**
**ręką machnąć?**
**A możeby**
**po szczęście**
**gdzieindziej pojechać?**
(Z poematu „Świt nad Nową Hutą")

Natomiast każda naiwność — razi. Naprzykład:

**On żył,**
**on był jednym z nas,**
**zwykłym robociarskim chłopakiem,**
**miał jasną twarz,**
**mieszkał w Warszawie, na Kaczej.**
**No i z tą jasną twarzą**
**przyszedł do Rewolucji, —**
**jak to „za naszą i waszą"**
**sam się uczył**
**i innych uczył...**
(Z poematu „Świerczewski").

„No i" — jak mówi Woroszylski — nie wychodzi. „Jasna twarz" jest uproszczeniem, rekwizytem, sztampą. Nie oddaje tego, co poeta niewątpliwie chciał wyrazić — szlachetności, wewnętrznego piękna i siły postaci gen. Świerczewskiego. Niekiedy nadużywa Woroszylski wulgaryzmów. Np.:

**Robiło się**
**u Gwiździńskiego, u Gerlacha,**
**ledwie nogi wyrosły z tyłka...**

To nic, że chodzi o charakterystykę postaci, w której usta można było w danych okolicznościach włożyć takie słowa. W przytoczonym wierszu, w kontekście, zwrot ten razi jako naturalizm.

Zdarzają się też jeszcze w wierszach Woroszylskiego pewne niejasności wynikłe ze stosowania zbyt pośpiesznych skrótów myślowych np. w „Piosence o bracie", zaczynającej się od słów:

**— Nie chcę, nie chcę, nie dbam o obcych,**
**jestem Polakiem...**

w której słowo „obcy" w trakcie wiersza zmienia swoją treść każąc zaledwie domyślać się czytelnikowi, jaki sens wkłada autor w poszczególne, luźno się kojarzące zdania utworu. Dążenie do maksymalnej skrótowości każe czasem stosować Woroszylskiemu odziedziczony po „awangardzie" styl „telegraficzny" wraz z jego formalistycznymi w gruncie rzeczy chwytami, np. w „Balladzie o matkach":

**...syn poległ za...**
**Za co?**

lub dalej:

**Paryż.**
**Piękny!**
**Ranek.**
**Procesja? Co za procesja?**
**Czterysta.**
**Tylko.**
**Tylko czterysta matek.**
**Puśćcie, szuje!**
**Skom-pli-ko-wa-na kwestia.**

Cały wiersz składa się z niedopowiedzeń i upartych powtórzeń („Nieprawda. Nieprawda. Nieprawda!") i ma wprawdzie pewną siłę wyrazu, ale uboższą niż można by z danego tematu wydobyć gdyby go rozwinąć.

Błędem Woroszylskiego bywa nadużywanie powtórzeń. Czasem są one celowe, np. na początku poematu „Świt nad Nową Hutą"

**Jeszcze noc, jeszcze noc, jeszcze noc**
**w kołach szumi, kołysze wagony...**

Chodzi tu wyraźnie o oddanie rytmu jadącego pociągu. Ale np. strofa:

**Patrzę na wschód: brat.**
**Patrzę na zachód: brat.**
**Patrzę na północ i na południe:**
**brat, wszędzie brat.**
(„Druga piosenka o bracie")

— to łatwizna. Można to było powiedzieć oryginalniej i dobitniej.

Uderza natomiast, nadaje siłę i wagę wierszom Woroszylskiegi, zwłaszcza jego poematom takim jak „Świerczewski" i „Świt nad Nową Hutą", zaleta nader rzadka i cenna — rozmach i coraz wyraźniej zaznaczająca się umiejętność komponowania zamkniętej w większą całość treści, wątku akcji. Ta umiejętność kompozycyjna zdaje się być, obok problemu właściwej rytmiki, najważniejszym bodaj zagadnieniem formalnym poezji stawiającej sobie ambitne zadania przejścia od form wyłącznie liryczno-wzruszeniowych do szerszego, udramatyzowanego ujmowania rzeczywistości. W poemacie „Świt nad Nową Hutą" Woroszylskiemu udało się w sposób trzymający w pewnym napięciu uwagę czytelnika, bez dłużyzn i rozwlekłości, opowiedzieć historię zetempowca który przyjechał budować Nową Hutę, przeżył kryzys rozczarowania, kiedy zamiast „wyższej techniki" zetknął się z twardą koniecznością „czarnej roboty" niewykwalifikowanego kopacza, powoli wciągnął się w pracę i cementującą uczuciowo atmosferę zetempowskiego kolektywu, nauczył przeżywać wraz z nimi chwile najwyższych uniesień wspólnej walki Poemat, w którym napewno dałoby się również odnaleźć drobne usterki artystyczne, ma zaletę wyraźnej kompozycyjnej zwartości, daje każdemu czytelnikowi, również takiemu który Nowej Huty nie widział, nie zna panującej w niej atmosfery pracy — żywy i plastyczny obraz tego zjawiska. Woroszylski nie rezygnuje z opisu ale też wprowadza w zagadnienie, wypowiada myśl w formie prostej i jasnej, zręcznie na ogół przeplatając rytm strofy regularnej z dynamizującymi akcentami wiersza wolnego

**— Tu huta wyrośnie. Gigant.**
**I miasto — pojąć to umiesz?**
**Wraz z miastem będzie się dźwigać**
**socjalizm. Później — komunizm...**

**— Czekaj, czekaj, zatrzymaj myśli:**
**komunizm — co to znaczy?**
**— Komunizm —**
**to my,**
**nowi ludzie, wychowani w pracy,**
**komunizm — po prostu, po ludzku**
**znaczy: każdy tworzy i cieszy się,**
**komunizm — to nowy ustrój,**
**a w nim — powszechne szczęście...**

Poemat o Nowej Hucie jest, po wierszach z cyklu „Pierwsza linia pokoju" i po poemacie o Świerczewskim, nowym, kolejnym etapem niewątpliwego doskonalenia się techniki poetyckiej Woroszylskiego i w pełni usprawiedliwia przyznaną mu niedawno nagrodę literacką, pozwalając zarazem rokować najlepsze nadzieje na dalszy ideowo-artystyczny rozwój poety.

**Ryszard Matuszewski**

## „Moja pieśń mnie zdradzić nie może..."

*(Dokończenie ze str. 2)*

Słowa Broniewskiego odbijały się o ściany pałacu w administracji PGR pod Kutnem i brzmiały donośnie w miejskich domkach spółdzielni produkcyjnej, w oświetlony elektrycznością wieczór niedzielny w PRPB w Pabianicach przy słowach:

„tuczą się Łodzią tłuste Scheiblery..."

nikt z obecnych nie mógł powstrzymać się, ażeby nie spojrzeć z uśmiechem na złocone, przeładowane stylowymi meblami i dziełami sztuki wnętrzne pałacu Krusche i Enderów, w którym obradował w łunie żyrandoli Komitet Socjalny Rady Zakładowej. W gimnazjum technicznym w Zgierzu uczennice samorzutnie recytowały także wiersze Broniewskiego powstałe w ostatnich latach, których nawet ja nieznałem. Broniewski żył wśród ludzi, dla których pisał. Więcej — Broniewski działał. Poszczególne brygady na zakładach pracy podejmowały zobowiązania dodatkowego przyśpieszenia produkcji dla uczczenia dwudziestopięciolecia jego pracy twórczej. Młodzi zetempowcy z dumą ogłaszali nam o tym.

Przyznam się, że z radością uprzytomniłem sobie, iż w wielu miejscach praca nad popularyzacją Broniewskiego okazała się zbyteczna. Polska klasa robotnicza zna go i kocha niejednokrotnie bardziej niż wielu z nas, pisarzy.

Zanim wróciłem do Warszawy, kwiaty ofiarowane Broniewskiemu zwiędły, ale pamięć i świadomość tego wielkiego tryumfu poezji rewolucyjnej pozostała. Dodawać ona będzie sił do pracy nad podniesieniem poziomu naszej, kroczącej ku socjalizmowi literatury, u której progu stoi wielka postać autora „Komuny paryskiej".

W Warszawie też przeczytałem listy do Władysława Broniewskiego, z meldunkami o wypełnieniu zobowiązań produkcyjnych podjętych dla uczczenia Jego jubileuszu.

**Andrzej Braun**

ZBIGNIEW PITERA

# O DALSZE BRYGADY

Film „Dwie brygady" stał się niewątpliwie wydarzeniem w naszym życiu kulturalnym. Słusznie też uważamy go za ważną, a nawet zwrotną pozycję w dorobku powojennej kinematografii polskiej. Zwrotną, gdyż jest on właściwie pierwszym poważnym krokiem naszej twórczości filmowej ku problematyce dnia dzisiejszego, jest próbą ukazania na ekranie tych wielkich przemian, które dokonały się i dokonują w świadomości milionów ludzi pracy wychowywanych przez nowy ustrój.

Gdy analizujemy ten film pod kątem jego wartości ideologicznych i artystycznych, gdy notujemy równocześnie oddźwięk, jaki wywołuje u masowego widza, gdy słuchamy głosów, które ze strony audytorium robotniczego padają na licznych dyskusjach, utwierdzamy się coraz mocniej w przekonaniu, że walka o film realizmu socjalistycznego przeniosła się już z terenu teoretycznych rozważań do warsztatu twórczej pracy realizatorskiej. Możemy oglądać pierwsze konkretne osiągnięcia, oceniać je, budować na zdobytych pozycjach, uczyć się unikać popełnionych błędów.

Spójrzmy wstecz. Drogę filmu polskiego ku tematyce współczesnej znaczą tylko trzy pozycje: „Jasne łany" — powierzchowny a przez to fałszywy, chybiony artystycznie obraz powojennej wsi polskiej, bardzo mieszczańska komedia „Skarb" i nieporadna choć szczera próba naszkicowania sylwetki pozytywnego bohatera — „Czarci Żleb". Materiał prawie żaden. Rzecz charakterystyczna, że do środowiska robotniczego w ogóle nikt nie odważył się sięgnąć. Błędy tych filmów a zwłaszcza dwóch pierwszych, tkwiły przede wszystkim w całkowitej obcości autorów wobec przenoszonych na ekran środowisk, nie mówiąc już o dostrzeżeniu najistotniejszych zjawisk społecznych i ich perspektyw rozwojowych, o uchwyceniu i realistycznym przeniesieniu na ekran typowych elementów opisywanej rzeczywistości. Ten spadek nie mógł zwiastować „Dwóch brygad", to też nic dziwnego, że wzięły swój rodowód skądinąd.

Nie byłoby „Dwóch brygad", gdyby dawny szlifierz Vaszek Kania nie napisał swojej interesującej sztuki o Karhanie i gdyby nie jej wystawienie w łódzkim teatrze „Nowym", które było znamiennym wydarzeniem w naszym życiu teatralnym. Dobrze się stało, że reż. Eugeniusz Cękalski postanowił wziąć autentyczną historię wystawienia tej sztuki za kanwę swego scenariusza i że konstruując wraz ze Swinarską i Szustrem doskonale pomyślaną fabułę „Dwóch brygad", wprowadził do filmu także polskie środowisko robotnicze.

Realizm tego wielopłaszczyznowo pod względem przeprowadzenia akcji zbudowanego filmu jest w swej genezie oparty na mocnych elementach: prawdziwa, aktualna ,realistyczna sztuka na temat współzawodnictwa i socjalistycznego stosunku do pracy, autentyczna, tocząca się u nas walka o nowy repertuar, realistyczną formę i treść współczesnego teatru, wreszcie wycinek życia polskiej klasy robotniczej, która rozpoczęła walkę o wykonanie planu 6-letniego. Te trzy elementy nasycone żywą treścią ideologiczną, pełne dynamiki, bogate w realia, których dramatyczną wartość można dostrzec i sprawdzać na każdym kroku w otaczającej nas rzeczywistości, złożyły się na bardzo wdzięczny, żywy, aktualny i niesłychanie różnorodny materiał, który wykorzystali w swym scenariuszu autorzy.

Trafne, przekonywujące ujęcie dramatyczne tak różnorodnego materiału nie byłoby możliwe, gdyby autorzy już na samym początku swej pracy nie wyszli z jedynie słusznych założeń ideologicznych, nie postawili sobie jako głównej wytycznej — tezy, iż we wszystkich dziedzinach życia współczesnej Polski spotykamy ten sam problem nowego, socjalistycznego stosunku do pracy, to samo zagadnienie przezwyciężania obciążeń przeszłości, walki nowego ze starym, walki prowadzonej przede wszystkim przez całą klasę robotniczą.

To też w takim właśnie podejściu do tematu szukać należy momentów, które zadecydowały o wartościach i sukcesie filmu, mimo iż nie jest on wolny od błędów.

Warto to podkreślić dlatego, że wszystkie poprzednie filmy polskie o tematyce współczesnej nie posiadały albo wcale albo równie jasno sprecyzowanych założeń ideologicznych; prawda ich problematyki była niewyraźna, cząstkowa, chwytana przez autorów na oślep, bez dostrzegania szerokich perspektyw i kierunku rozwoju naszego społeczeństwa, z pominięciem roli jego najlepszych sił. Wartości tych filmów miały charakter peryferyjny, błędy — zasadniczy.

Nowatorstwa „Dwóch brygad" nie należy dopatrywać się w oryginalności samej konstrukcji dramatycznej w wielopłaszczyznowości akcji, we wprowadzeniu na ekran teatru, który staje się odbiciem i sprawdzianem wydarzeń rzeczywistych — bo filmów o tego rodzaju koncepcji można przytoczyć sporo. To jednak co w filmach tych służyło tylko dla nadania nowej, wyszukanej formy starym schematom treściowym, w „Dwóch brygadach" nie tylko wynika organicznie z samego tematu, ale domaga się jeszcze bardziej śmiałego, nowego, oryginalnego ujęcia.

Takie bogactwo problemów, przed którym stanęli autorzy „Dwóch brygad" — nurt współzawodnictwa pracy, który porywa jednostki jeszcze wahające się, przełom w świadomości robotnika i artysty, nowa rzeczywistość pomagająca ludziom sztuki odnajdywać drogę ku realizmowi, nowa sztuka kształtująca i wychowująca jednostkę, mobilizująca masy do walki o wykonanie i przekroczenie planu — daje niewyczerpane możliwości artystycznej interpretacji bez obawy zejścia na manowce formalizmu, o ile tylko autor umie dostrzec i wyrazić właściwy sens ideologiczny każdego problemu.

Wielopłaszczyznowość wątków fabuły filmu — fragmenty sztuki o Karhanie, środowisko teatralne i życie fabryki — to w dużym stopniu wyraz bardzo sumiennego zaobserwowania tych najistotniejszych treści ideowych, które przenikają, wzajemnie na siebie oddziaływują i potęgują się na każdym odcinku życia dzisiejszej Polski.

Nowatorstwo tego filmu jest nowatorstwem jego treści.

„Dwie brygady" przyniosły dość liczną galerię postaci nowych na naszym ekranie, zarysowanych plastycznie, pozostających w pamięci widza. Na plan pierwszy wysuwa się obraz aktora Borowicza, artysty, który wyrósł, dojrzał i starzeje się na repertuarze klasycznym; jego rutyna i uprzedzenia nie pozwalają mu początkowo zrozumieć i przejąć się sztuką o socjalistycznej tematyce. Przełom Borowicza, który urażony w swej ambicji zawodowej chce odejść, ale stopniowo poprzez kontakt z robotnikami i fabryką odnajduje właściwą drogę i odnosi sukces jako świetny odtwórca Karhana — pokazany został z dużą prawdą psychologiczną. Odpowiednikiem Borowicza wśród robotników, a zarazem drugą wersją Fikejsa ze sztuki Kani, jest szlifierz Walczak, maruder załogi fabrycznej, doświadczony, przedwojenny robotnik, który buntuje się przeciw „nowym porządkom". Walczakowi sztuka o Karhanie pomoże zrozumieć sens socjalistycznego stosunku do pracy, uczyni go aktywnym uczestnikiem współzawodnictwa. I ta postać jest prawdziwa, chociaż brak jej soczystości Borowicza.

Zespół teatralny reprezentowany jest przez postaci i typy dobrze zróżnicowane. O ile jednak „opozycjoniści" są już po kilku wypowiedzianych zdaniach postaciami pełnymi i motywy ich postępowania nie wymagają żadnych komentarzy, to np. charakterystyka takich postaci, jak reżyser Małecki i młody aktor odtwarzający na scenie rolę Jarki, nie może ograniczać się do skrótów. Ci ludzie to świadomi swych zadań pracownicy teatru, tło ich działania musi być szersze, trzeba pokazać, skąd czerpią przekonanie i siły do walki z oportunizmem reszty zespołu. Niezdecydowana jest postać aktorki grającej rolę Karhanowej. Zdecydowanie zły — dyrektor teatru.

Środowisko robotnicze ukazane jest już znacznie skąpiej, potraktowane bardzo szkicowo, role rozdane pośpiesznie:

**Aktorzy: Filus, Opaliński i Karczewski jako szlifierze przed obiektywem kamery filmowej. Za aparatem reż. Cękalski, pierwszy od prawej siedzi operator A. Forbert**

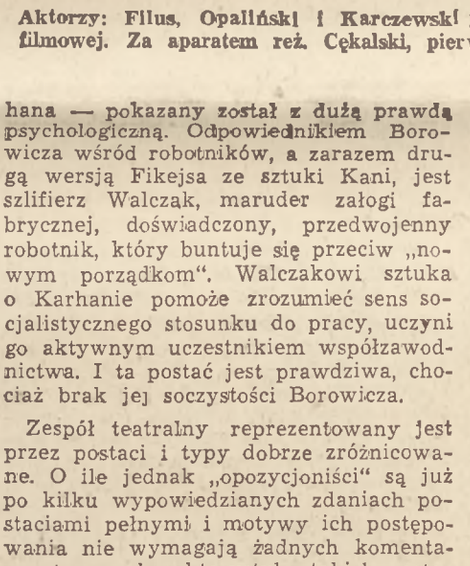

**Z. Karczewski w roli Fikejsa.**

to młodzi, zawsze uśmiechnięci przodownicy pracy, to stary, w milczeniu podążający za nimi szlifierz, a to sekrettarz podstawowej organizacji partyjnej... Rozwinięta została jedynie rola Walczaka. To za mało.

Zjawienie się na naszym ekranie działacza partyjnego, reprezentującego w środowisku robotniczym element kierowniczy, zasługuje na uwagę. Ta postać będzie rosła i rozwijała się w następnych, współczesnych filmach polskich. Nie można dopuścić, by stała się schematem lub marginesem.

Postaci Borowicza, Walczaka, Małeckiego i innych — żyją, interesują i wzruszają widza. To już nie blady, papierowy nauczyciel z „Jasnych Łanów", czy niewątpliwie pozytywny, ale ciągle jeszcze pozytywny „na słowo honoru" Jasiek Gazdoń z „Czarciego Żlebu". Autorzy potrafili pokazać przemiany duchowe bohaterów, skoncentrować na nich uwagę widza, uczynić charaktery prawdziwie dramatycznymi.

Proporcje udzielone trzem płaszczyznom, na których rozgrywa się akcja „Dwóch brygad", nie są równe. Zarówno sztuka Kani, ukazywana w dużych, bardzo zresztą trafnie wybranych partiach, jak i perypetie teatralne — rozrastają się niepomiernie w stosunku do epizodów fabrycznych. A ściślej — te ostatnie nie zostały dramaturgicznie do odpowiednich rozmiarów rozpracowane. To jest niesłuszne. Widz traci z oczu to środowisko, które stało się natchnieniem sztuki o Karhanie, któremu służyć ma rezultat przemiany Borowicza, które zadecyduje o wykonaniu planu. Autorzy przestudiowali świetnie sztukę Kani, w pełen inwencji sposób pokazali istotę zakulisowych perypetii, ale trochę zlekceważyli sprawę fabryki. Widać to zresztą w realizatorskim potraktowaniu odpowiednich epizodów — o czym niżej.

„Dwom brygadom" słusznie wytknięto wady dramatyzacji. Jedną z ich przyczyn jest to, że autorzy koncentrując uwagę na poruszanych w filmie zagadnieniach, na jasnym, przekonywującym ich postawieniu i przeprowadzeniu, pominęli zupełnie osobistą stronę życia bohaterów. Sprzyja to oczywiście również skupieniu uwagi widza wokół problematyki filmu, wokół problemów ważnych, ściśle się o siebie zazębiających — ale obniża temperaturę uczuciowego stosunku widza do bohaterów, autorów zaś pozbawia możności wprowadzenia osobistych, ludzkich konfliktów i ukazania pełnej skali przeżyć ekranowych postaci.

Tu warto sobie przypomnieć jakikolwiek film radziecki, by stwierdzić, że najbardziej problemowy dramat może i powinien wkraczać w sferę osobistych przeżyć bohaterów, bo wtedy dopiero nabiera prawdziwych rumieńców życia. Weźmy przykład bardzo charakterystyczny. W „Upadku Berlina" jest scena, gdy Stalin przyjmuje u siebie w obecności członków Biura Politycznego KC hutnika Iwanowa. Rozmowa toczy się początkowo wokół fabryki wytopu stali, mówi się o nadciągającej wojnie. Potem Stalin pyta Iwanowa o jego sprawy osobiste, radzi mu jak ma postąpić, a gdy dowiaduje się, że narzeczona hutnika jest miłośniczką Puszkina, sam deklamuje urywek wiersza. Ta scena, jedna z kluczowych w filmie, posiada tyle ciepła i szczerości, że niesłychanie zbliża bohaterów filmu do widza, wzrusza. Dla bohatera „Upadku Berlina" na przestrzeni całego filmu sprawy wagi państwowej i sprawy osobiste są nierozłączne. Wie, że walcząc o wolność swego narodu, walczy także o szczęście osobiste.

W „Dwóch brygadach" żaden z bohaterów, poza Walczakiem, nie ma żony, dzieci, matki, narzeczonej, brata itp. Ostateczny sukces brygady teatralnej nie zmienia nic w życiu osobistym bohaterów. Ostatnia perypetia przed premierą w teatrze — brak szlifierki — jest perypetią czysto sytuacyjną, której rozwiązanie zresztą łatwo odgadujemy.

„Dwie brygady" są mimo tych braków filmem pełnym wiary w człowieka, pełnym optymizmu. Ten charakter nadaje całości wysunięcie na plan pierwszy właśnie postaci Fikejsów, ich różnych odmian. Autorzy przepoili całość pogodnym humorem, nie brak tu i trafnych momentów satyrycznych. Doskonała jest np. scenka z biurokratycznym urzędnikiem. Natomiast zabawa w lesie jest wstawiona bardzo nieporadnie, bo podczas niej nic się nie dzieje. Te nierówności wynikające z niedopracowania scenariusza powodują dramaturgiczne luki w filmie.

O ile realizacja nie mogła wyrównać braków scenariusza, to jednak nie musiała ich potęgować. Dotyczy to potraktowania poszczególnych partii filmu.

Sceny z „Karhana" w różnych fazach pracy zespołu nad przedstawieniem wyczerpane są do najdrobniejszych szczegółów, rzadko kiedy ogląda się na ekranie spektakl teatralny z takim zainteresowaniem. Zarówno gra aktorów jak i sposób filmowania, w połączeniu z przebitkami widowni — są bardzo dobre. Poprawnie wypadły wszystkie sceny za kulisami teatru, we wnętrzach biur, pracowni i mieszkań, chociaż odczuwa się tu lekceważenie strony operatorskiej obrazu, ujęcia są nieprzemyślane, przypadkowe, pozbawione jakichkolwiek wartości kompozycyjnych. Natomiast sceny fabryczne zarówno reżyserzy jak i operatorzy potraktowali po macoszemu. Hala fabryczna, pełna obrabiarek, tętniąca współzawodnictwem pracy, ludzie coraz doskonalej panujący nad maszynami — to wszystko wypadło w filmie znacznie słabiej niż w niejednym temacie kroniki filmowej. Nie widać sprawnych ruchów rąk szlifierzy, nie widać piętrzących się przy warsztatach gotowych części maszyn, np. czopów tłokowych, o których się tyle w filmie mówi i których nagromadzenie winno wskazywać, że już nie w 12 ale w 8 czy 6 minut są toczone.

Mam wrażenie, że albo pośpiech albo jakaś zupełnie nieuzasadniona obawa przed posądzeniem o formalizm kazała autorom zrezygnować z wyzyskania filmowych walorów takiego tematu, jak fabryka, fabryka dzisiejsza, której gospodarze żyją problemami „Brygady szlifierza Karhana". Drobny przykład. Do fabryki przychodzi Borowicz, aby zapoznać się z pracą na szlifierkach. Staje przy warsztacie, którego dotyka pierwszy raz w życiu, i niewprawnymi ruchami rąk puszcza maszynę w ruch. Obok stoi robotnik i udziela mu wskazówek, kieruje jego manipulacją. Scena ta sfilmowana jest tak, że na ekranie widać nieistotny dla akcji tył szlifierki i łysinę pochylonego, ukrytego za maszyną Borowicza, którego pozycja może równie dobrze wskazywać, że zawiązuje sobie sznurowadło. Po chwili dowiadujemy się z dialogu, że Borowicz pracuje już jak stary szlifierz. Niestety tego nie widać. A właśnie film może to znakomicie pokazać. Tak samo, jak doskonale pokazał Borowicza troszczącego się o wyładowywaną w teatrze maszynę. Tylko ten jeden moment usprawiedliwia właściwie wprowadzenie epizodu ze spóźniającą się szlifierką.

Reasumując — środowisko robotnicze powinno było być w scenariuszu potraktowane znacznie szerzej i głębiej, a w realizacji wyzyskane bardziej pod względem plastycznym. Ramy filmu w wystarczającej mierze na to pozwalały.

Montaż całości, jak również tempo niektórych scen — miejscami zbyt flegmatyczne.

„Dwie brygady" przyniosły kilka znakomitych kreacji aktorskich. Świetnie zadebiutował w filmie Kazimierz Opaliński — jego Borowicz i Karhan to osiągnięcia aktorskie wysokiej klasy. Postać kabotyniejącego aktora odtworzył z dużym poczuciem umiaru, mimo iż na każdym kroku groziło tu niebezpieczeństwo szarży. W wyrazisty sposób pokazał wszystkie etapy drogi Borowicza ku realistycznej, odtworzonej bardzo sugestywnie, scenicznej sylwetce Karhana.

Zdzisław Karczewski nie mógł wiele wnieść do sztywnie nieco ustawionej w scenariuszu postaci reżysera Małeckiego, ale pokazał małe arcydzieło gry aktorskiej w roli Fikejsa. Jego Fikejs jest nie tylko bardzo prawdziwy, ale chwilami szczerze wzruszający. Nie wiem, czy którekolwiek z polskich przedstawień Karhana miało tak znakomitego odtwórcę tej roli.

Zygmuntowi Lalkowi, który zawędrował przed obiektyw kamery filmowej wprost z fabryki, nie dał pola do popisu scenariusz, a pomoc ze strony reżyserów okazała się niewystarczająca. Postać Walczaka mogła i powinna była wypaść znacznie lepiej.

Wreszcie — muzyka. „Dwie brygady" zmuszają do poważnego zajęcia się tą sprawą. Trudno mówić, że to co słyszymy w czasie projekcji z głośnika, jest złe, to nie ma poprostu sensu. Muzyka filmowa ma pewne specjalne wymagania, z którymi trzeba się liczyć. Na ten temat musi wypowiedzieć się któryś z muzykologów, poddając analizie i ocenie muzykę napisaną do kilkunastu polskich filmów fabularnych i mnóstwa krótkometrażowych. Kompozytorzy tworzący dla filmu muszą poznać gruntowniej tę dziedzinę.

„Dwie brygady" są filmem, który powstał w wyniku stosowania nowych, niepraktykowanych dotąd w naszej kinematografii metod pracy twórczej. Zrealizowały go dwa zespoły słuchaczy Państw. Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi pod kierunkiem swych pedagogów, reż. Eugeniusza Cękalskiego i operatora Adolfa Forberta. Biorąc na warsztat nowy, ważny, aktualny temat, młodzi filmowcy starali się w pracy swej urzeczywistnić te idee, o których mówi ich film. Eksperyment udał się. Film zdobył nagrodę na festiwalu w Karlovych Varach i odznaczony został Państwową Nagrodą Artystyczną, ale największym uznaniem dla jego twórców stał się głos masowego widza polskiego, głos widza robotniczego, który uznał „Dwie brygady" za swój film, za pierwszy film mobilizujący do walki o wykonanie planu 6-letniego.

„Dwie brygady" stały się więc zaczątkiem nowej produkcji filmowej, śmiało stawiającej przed sobą wielkie socjalistyczne zadania. Są osiągnięciem, które toruje drogę filmom o nowych brygadach budujących Polskę jutra.

**Zbigniew Pitera**

**K. Opaliński w filmie „Dwie Brygady"**

*Stolik montażysty filmowego*

## Nietakt i zbrodnia

„W filmie amerykańskim jak w życiu"— głoszą ostatnio rozpowszechniane w Stanach Zjednoczonych reklamy. Triumf filmów realistycznych jest tak zdecydowany, że Hollywood zostało zmuszone przynajmniej pod względem formalnym zmienić swą taktykę. Jeśli rzeczywiście podobają się filmy „życiowe", Hollywood będzie naturalnie na pierwszym miejscu w ich realizacji.

Jeden tylko szkopuł: skąd wziąć tematykę do filmów realistycznych? Pokazywanie robotników — jak to robią w filmach „rosyjskich" — mogłoby być bardzo niebezpieczne. Zresztą w życiu robotnika „ciekawy" jest tylko okres bezrobocia, a film na ten temat mógłby podpaść pod paragrafy „ustawy o działalności antyamerykańskiej".

Producenci wymagali jednak filmów realistycznych, tematyki życiowej — i scenarzyści zaczęli szukać.

Naturalnie „znaleźli". W Hollywood nie ma rzeczy niemożliwych...

Na ekranie widzimy kobietę jeżdżącą na wózku szpitalnym. Scenarzysta ze smakiem podkreśla kilkakrotnie, że bohaterka filmu NIE MA NÓG. Nie przeszkadza to jej oczywiście kochać się w sympatycznym młodzieńcu, który od matki kaleki woli jej córkę pin up girl. Matka i córka rywalizują z sobą, przy czym scenarzysta postarał się każdej dać atuty do ręki... Córka jest piękna, może się poruszać swobodnie i demonstrować swe wdzięki na skalistym wybrzeżu (zapamiętajcie sobie) — matka jest bogata i wspaniale (rzeczywiście wspaniale) gra na fortepianie posługując się (mimo braku nóg — ale to detal) oboma pedałami. Fortepian grzmi pełną gamą tonów.

Sympatyczny młody człowiek zastanawia się:... półnaga córka, bogata matka... wreszcie wybiera córkę. Nic dziwnego, że matce to się nie podoba i postanawia „najechać" swym wózkiem córkę na skalistym brzegu celem strącenia jej w przepaść. Realistyczna sytuacja, prawda?

Na ostatnią chwilę po nieudanej próbie zamachu, matka z rozpaczą patrzy na swe kikuty (realizm, realizm!) i sama przechyla się w przepaść... na ekranie pozostaje puste krzesło!

Dotychczas film jest tylko ordynarny i głupi... gdzież nietakt?

Otóż nietakt polega na tym, że do głównej roli powołano nieszczęśliwą artystkę Sabinę Peters, która istotnie straciła obie nogi w wypadku samochodowym. Scenariusz „uprzejmie" podsuwa jej jedyne „rozsądne" wyjście — samobójstwo.

Od takiego scenariusza krok już do zbrodni. Ta sama wytwórnia nie wahała się kroku tego postawić.

Oto tak zwany „synopsis" czyli skrót scenariusza będącego w realizacji.

## „Serce lotnika"

Pewien sportsman kocha się w milionerce. Milionerka nie chce sportsmana (realizm! Nie powinno mu się w głowie przewracać). Sportsman używa wszelkich sposobów, aby uwieść milionerkę. Zirytowana milionerka wyjeżdża „na Daleki Wschód", oczywiście własnym jachtem (realizm! milionerzy mają jachty, koniecznie to pokazać).

Sportowiec z rozpaczy wstępuje do lotnictwa, pragnąc skręcić kark. W tym czasie paskudni komuniści atakują na Korei (realizm; pokazać paskudnych komunistów wydzierających ziemię biednym obszarnikom koreańskim). Lotnik natychmiast zgłasza się ochotniczo nad Koreę — i co widzi? Zastanówmy się przez chwilę, co widzi amerykański lotnik - interwent na Korei? Widzi swoją milionerkę zajętą opieką nad biednymi dziećmi koreańskimi, które zbiegły przed grozą reformy rolnej (realizm, pokazać uciekające dzieci).

Właśnie gdy lotnik fruwając nisko nad milionerką wrzeszczy „hallo" i zrzuca kwiaty (realizm: lotnicy amerykańscy zrzucają na Koreę kwiaty!) nacierają paskudni komuniści pragnąc wywłaszczyć amerykańską milionerkę z jej koreańskich posiadłości. Na szczęście lotnikowi udaje się wylądować, ewakuować milionerkę (oraz koreańskie dzieci) do Japonii, tamże wziąć ślub.

Wojna skończona.

Pozornie oba filmy, ten już wyświetlany i ten znajdujący się dopiero w scenariuszu, nie mają z sobą nic wspólnego, a jednak skłonny jestem twierdzić, że niski poziom moralny pierwszego filmu WARUNKUJE powstanie „Serca lotnika". W atmosferze, w której każe się gwiazdom-kalekom grać wynikłą z kalectwa tragedię zakończoną samobójstwem, nie trudno już kazać czułym milionerkom roztaczać opiekę nad koreańskimi dziećmi, a wrażliwym lotnikom rzucać kwiaty na krwawiącą Koreę.

Oto krok od nietaktu do zbrodni.

**Puk.**

PRZY OBORNIKU

JAN BARANOWICZ

# W GŁĘBINOWIE ZACZĘŁA

Obornik gromadzony skrzętnie od późnej jesieni do wiosny, wypełniał prawie cały prostokątny podwórzec spółdzielni. Piętrzył się jakby w ogromnym zbiorniku, którego ściany stanowiły zabudowania. Pod okapem dachu, kamiennymi bruzdami ściekała od obór gnojówka, mieszając się w dni słotne z deszczem, parując obłokiem w dni słoneczne..

Władysław Garncarzyk, o którym słuch szedł po wsi, że wszystko zrobi, co tylko weźmie do garści, zarównywał cementem wnęki, wyszarpane przez czas w murach obory. Były to już ostatnie pociągnięcia kielnią — można by rzec — raczej kosmetyczne niż niezbędne. Dobrze się musiał nauwijać w podjesionkę, żeby z masywnego spichrza, przepierzonego na sąsieki, zrobić dużą, wspartą na cementowych słupach oborę. Podłogę trzeba było wymościć cegłą, ułożyć solidny pułap na żelaznych stragarzach, wykuć w południowej ścianie przewiewne okna. Przepierzenia miały rozgradzać przyszłe stado, a pojemne gładkie koryta, służyć na kiszonkę czy napój.

Krzątaniny wówczas miał Garncarzyk co niemiara. Zdawało się, że czasu na robotę nie starczy. Dzisiaj wszystko to było już poza nim.

Nie spieszył się. I tak murarkę skończy na południe. Obok na placu osadnicy — Malisz i Wilga podrzucali widłami mierzwisty nawóz na pryzmę. Gnoju narosło chyba na wysokość śmigłego chłopa. Dymiła mokrą sterta w ranmym przyjemnym przymrozku. Długa, nie cięta słoma połyskiwała złotem i brązem.

— Wystarczy tego chyba pod wiosenne uprawy — rzucił za siebie murarz, pochylony nad kupą gruzu — Brodło jak na pegeerowskim folwarku.

— Na pszczelarstwie się znasz, ale rolnik z ciebie byle jaki — zadrwił z niego Malisz przyjacielsko. — Wszystko się rozwiezie po polu, jeszcze od członków przyjdzie wziąć z obór. A sztucznego nawozu ile wiezie!

— Takiemu chleb łatwo przychodzi — rzekł z przekąsem Cześ Wilga, opierając się na tylcu wideł. Patrzył z odrobiną zazdrości na „pszczelarza“ i ocierał rękawem swetra czoło, wilgotne od potu. Ubrał się ciepło a marcowe słonko grzało jak dobre wino.

— Zazdrościsz mi? — śmiał się Garncarzyk — Rzuć w kąt widły i przychodź do mnie na praktykę.

— Bo i pewnie — żlił się na pół żartem na pół serio Wilga. — Pszczoły ci znoszą miód, murarka — pieniądze. Zrobią kiełbasy u sąsiada, już wracasz z jedną pod pazuchą. Napatyczy się we wsi zabawa, tyś tam pierwszy ze skrzypkami... W czepkuś się rodził, bracie i tyle.

— Tobie się też krzywda nie dzieje — mitygował go Malisz. Pysk ci poczerwieniał jak ćwikła. Ledwo ci krew z niego nie tryska. Przed wojną w Nowym Sączu nie oglądałeś takiego żarcia jak rok długi. Zychelek ziemi miałeś nie większy jak ogródek. U bogaczyś się zwijał od świtu do nocy... Jakeś ty tam wytrzymał bez mruczenia?

— Skąd wiesz, że nie mruczał — przycinał słowem Garncarzyk. — Mrużenie, to druga jego natura. Kocurem ci było zostać i po dachach łazić, nie widłami gnój rozrzucać..

— Może marzec tak wpływa na niego — żartował Malisz.

— Marzec, nie marzec — rozgniewał się naprawdę Wilga.—Dniówki księgowemu podajesz nie całe i to mnie gryzie.

— Tu cię boli! — Dniówki chciałbyś mieć, ale do roboty w spółdzielni przychodzisz, kiedy ci się podoba.

— Krowę mam na ocieleniu — bronił się Wilga — przenosi czy co? — Nie można się doczekać cielęcia...

— Od miesiąca się krową zasłaniasz. Może by do niej posłać akuszerkę?

Garncarzyk i Malisz wybuchnęli szerokim śmiechem.

Nie żałowali Wilgi. Jakoś po początkowej gorliwości zaczął się ostatnio wyłgiwać od zajęć w spółdzielni. Pretekst zawsze się znalazł.

— A swoją drogą, mógłbyś sobie sprawić notatnik gospodarski — wtrącił wiceprezwodniczący Julian Soból. — W sklepie spółdzielczym tego nie brak. Zobaczysz — jeszcze ci się kiedy bydlę styra przez niedbalstwo. Chłopeś jak drąg, a rozumu nie masz na naparstek.

— Zapisałem kredą na stragarzu, ale dzieciska zmazały — usprawiedliwiał się wstydliwie Wilga.

Soból dwuznacznie kiwał głową. Przyszedł od kancelarii, żeby dopatrzyć podwórkowej roboty. Chciał przy tym wypróbować nowe siewniki do nawozów sztucznych. Przyszły wczoraj, jeszcze im się dobrze nie przyjrzał. Stały obok nieużytecznego dziś gołębnika, błyszcząc czerwonym i zielonym lakierem w słońcu. Pomogą przy wiosennej siejbie i usprawnią pracę. Rozrzucanie saletry czy soli rękami, paliło jak mróz i niepotrzebnie trudziło ludzi.

— Trza będzie pryzmę koniem udeptać, Józku — rzekł do Malisza. — Po co się ma spalać po próżnicy. Dwieście czterdzieści hektarów pola — to nie byle co. Szkoda każdej garści omasty.

— Myślałem o tym — przytaknął Malisz — Chmury ciągną od czeskiej strony, może się zadeszczyć i roboty się odwleką. Ubity nawóz powietrza nie dopuści.

Zgrabny wasążek zaterkotał na cegłach i wybojach wiejskiej drogi. Skierował się na ścieżkę, prowadzącą wśród płotków do biura spółdzielni. Srokata klacz stąpała ciężko, zmęczona przydługim, niestosownym dla jej tuszy truchtem.

Na siodle, przewieszonym ponad literkami wasąga, siedział — podobny do krępego prawdziwka — przewodniczący gięblnowskiej spółdzielni, Stefan Chmielarz. Był ubrany w żółtą, sukienną kurtkę i buty z cholewami. Jego czerstwa, pozornie obojętna twarz, zdawało się, nie wyraża żadnych wzruszeń.

Mały, chuderlawy mężczyzna siedział za nim na tylnym siedzeniu i mówił o czymś z ożywieniem. Mówił głośno, żeby przekrzyczeć turkot kół, pomagał sobie przytem palcami, jakby wyliczał na nich racje za i przeciw.

Soból wskazał głową na tych z wasągą.

— Kogóż tam prezes z Nysy przywiózł? Dziennikarz jaki czy kontroler?

Chmielarz pociągnął lejce mocno ku sobie. Srokata otarła się nozdrzami o pryzmę obornika.

— Instruktora-m przywiózł z powiatu. Do akcji siewnej — przedstawił gościa.

— Przydacie się, inżynierze — rzekł Soból, który spotkał się już z przybyłym na jakimś zebraniu i dopiero z bliska go poznał. Podszedł żywo do wasążka i uścisnął dłoń oświatowca — Zabierzemy się z miejsca do roboty, żeby z jarym poszło lepiej niż z ozimym.

— Jechaliśmy umyślnie przez pole, żeby się przyjrzeć oziminom. Ślicznie przezimowały. Żyto równiutkie jak runo — rzekł z uznaniem instruktor Słotwiński.

— Pszenica się trochę nie podarzyła — odezwał się Chmielarz. Nierychło się posiało. Pierwszy śnieg pruszył, jakeśmy weszli w pole z siewnikiem...

— Skiełkowała pod śniegiem. Ona to lubi. Na wiosnę się spniaczy i dogoni żyto.

Soból, który odegrał główną rolę przy jesiennych siewach, nie pozwolił Słotwińskiemu odpocząć po podróży:

— Rzepak ładnie przetrzymał mrozy. Musieliście mijać. Rośnie niedaleko toru. Ledwo mu tu i ówdzie czubki listków przybielały.

— Podziwiałem. Zieleni się z daleka jak ścierniówka latem. Kożuch nie rzepak. Dobra była robota w jesieni. Za to po drugiej stronie drogi — przykro rzec—ale ozimina lichutka jak ta trawa na ugorze. Nawet się patrzyć nie chce.

— To pole Wędzichy. Jednego z tych, co nam nie są radzi i chętnie śmiercią głodową straszą. Komasacja okroiła go trochę, ale widać, za dużo mu jeszcze, skoro sobie z obróbką nie dał rady.

— Pomożemy, jak przyjdzie do nas. Teraz niech się przygląda naszej pracy, żeby nabrał ochoty. — Chmielarz cedził słowa wolno i szorstko.

— Czesiek! — obrócił się do Wilgi — ostaw robotę, weźmiesz łańcuchy do kancelarii. Trzeba zmienić tamte w oborze. Sama zganianina.

— Łańcuchów do licha, jeno wiązać nie ma co na nich — syknął Wilga. Nie ma co i nie ma gdzie — dołożył z ulgą.

— Cierpliwości, synku, cierpliwości. Nie od razu Kraków zbudowano. — Chmielarz patrzył na Wilgę przyjaźnie i z wyrozumieniem. — Ileż my to mieli krów, gdyśmy w maju zeszłego roku zakładali spółdzielnię?

— Po co pytacie, kiedy wiecie sami. Nie było ani jednej...

— Teraz są? —

— Uhm! Dwadzieścia osiem krów, sześć cieląt i jeden buhaj.

— Chwali ci się, że pamiętasz. A i to se jeszcze zanotuj w głowie. Na jesieni będzie krów pięćdziesiąt. Będzie dla nich obora, przy niej wzorowa gnojownia i silosy na kiszonkę. Zapomniałem o najważniejszym: — Bank Rolny przyznał spółdzielni dalszy kredyt na rozbudowę.

### PRACOWITY DZIEŃ STASZKA LISA

W nocy sypnął śnieg ,lecz o dniu stajał i spłynął deszczem w bruzdy. Białe chmury rozsunęły się jak firanki i odsłoniły słońce. Za stodołami spółdzielni pierwsze stokrocie otworzyły różowe kwiaty.

— Wiosna bawi się z nami w ciuciubabkę a nam pilno do roboty — agronom Słotwiński był najwyraźniej niezadowolony. Plan pracy i rozdział narzędzi przygotowano od tygodnia. Konie mitrężyły w stajniach. Urwać się można z tym czekaniem.

Senderze znudziła się ta ciągła zbyrkanina po podwórku. Od kwartału nie opuścił ani jednej dniówki.

Przeciągnąłbym się z tydzień w polu — rzekł, rozkrzyżowując ramiona jak konary. — Przeszedłem nawozem, baba się nie chce pocałować ze mną.

— Kto ci broni. — Lis oglądał się za pomocnikiem. Wybierał się właśnie w pole z siewnikiem. Agronom radził posmarkać trawnik solą potasową. Nie obrazi się łąka. A choćby i deszcz porosił z wierzchu, ziemia równa, nawóz nie spłynie.

— Masz ochotę, bierz lejce w garść i hajda ze mną — kontynuował Lis. — Przewietrzysz się, kiedy ci duszno na podwórcu. Guguła miał przyjść do pomocy, ale z Guguły pomocnik jak z diabła kościelny. Raz przyjdzie, pół miesiąca się nie pokaże.

Wyjechali za zabudowania spółdzielcze. Sendera poganiał, Lis kroczył z tyłu za siewnikiem.

— Ciekawym, co pokaże w praktyce — wskazał ręką na siewnik.

— Przydałby się trzeci człowiek do nawozu. We dwóch robota pójdzie ślamazarnię.

— Bo się to ruszą. Zagrzebali się w izbach jak borsuki w norach. Kijem by ich spod pierzyn nie wygnał. Ale niech ta — przyjdzie na psa mróz...

Jechali polną ścieżką. Koła wozu nawet nie przerzynały trawy. Zamróz mocno jeszcze ściskał ziemię pod nawierzchnią. Parę dni upłynie, zanim słonko zmiękczy twardą skorupę.

Stanęli u celu. Lis przeprzągł konie od wozu do wagi siewnika. Sendera sypał sól z skrzyni do bębna. Odrzucał grudy na bok, żeby nie zablokowały wylotów. Pokruszy się je na ostatku.

— Gotowe? — Lis poprawił chomąto na piersi wałacha. Nie leżało jak trzeba na włosiennym podkładzie.

— Śmigaj lejcami. Można — Sendera stanął przy siewniku.

Potas sypał się miałko na trawę. Maszyna pracowała bez zarzutu. Jakby od dawna już przywykła do tej czynności.

Stado wróbli sfrunęło z chaberdzi na łąkę, zwabione tajemniczą posypką. Rychło jednak poznało się na niej i poleciało dalej ku wiosce.

Dogrzewało tak, że Sendera zrzucił z pleców kurtkę i nawet w swetrze czuł się nieswojo. Lis — chudzielec, mniej był wrażliwy na gorąco. Kierował zgrabnie lejcami i widać było, że mu się podoba robota.

— Cackasz się z koniami jak z dziewuchą. Ślepy by poznał, żeś dobrał do swego fachu. — Sendera obserwował jego ruchy z uznaniem.

— Parobkowałem przez sześć lat u Otoczka w Chełmcu, koło Sącza. Miał trzy konie i dwadzieścia pięć mórg gruntu. Nie tych śląskich, ale tamtych, naszejskich. Nogi mi wyłaziły ze stawów od uganiaczki.

Zatrzymali się na uwrociu, żeby zapalić papierosa.

— Mnie tam,. widzisz — zwierzał się Lis — robota nie dziwna. Nawykłem do niej od dziecka. W chałupie się nie przelewało. Ojciec — inwalida austriacki — miał czterdzieści złotych renty miesięcznie i dzierżawił dwie morgi gruntu we dworze. Pole leżało w drugiej wsi, o cztery kilometry od domu. Przytykało miedzą do pańskiego lasu i sarny więcej miały z niego pociechy niżeli my. Przez czternaście dni w roku stary odrabiał dzierżawę kosą. Jak nie mógł, odrabiała matka przez dwadzieścia osiem dni.

— Drogo se rachował dziedzic ten zychel.

— Po chrześcijańsku. Sam nie pracował, to i nie umiał cenić cudzej roboty. Otoczek, choć nie dziedzic, też nie był inny. Za jedzenie służyłem. Pamiętał, że wojna, że sołtys jeno czeka okazji, aby mnie wyprawić do Niemiec. Musiałem dobrze skakać, żeby nie stracić jego łaski. Zresztą nie powiem — zły nie był. Jakem już chodził żywonagi, zawsze mi jaki-taki łach kupił.

— Wielkie mi dobrodziejstwo — Sendera splunął na trawę. — Gołym tyłkiem miałeś ludziom świecić w oczy czy jak?

Lis śmignął batem ponad grzbietami zwierząt. Wzięli się znowu do nawożenia. Konie stąpały ciężko, przemierzając łąkę tam i z powrotem. Coraz więcej pola bielało w przedpołudniowym słońcu. Wyglądało to tak, jakby niedotajałe jeszcze grudy śniegu kryły się w kępach trawy. Albo jakby miękkie wełnianki pleniły się gęstwą na łące.

W górze, nad głowami, odezwał się pierwszy skowronek. Zawisł na skrzydłach jak szara bryłka, zaciurlikał kilka krótkich nutek i znowu opuścił się w trawę.

— Będzie wczesna wiosna — wyrokował Sendera. — Skowronki już śpiewają, szpaki obsiadły olszynę, nawet bocian krążył wczora nad stodołami. Gdzie on ta tych żab złowi na kolację? —

— Nie umorzy się. Gorzej, że nam braknie potasu, a o Janosie ani słychu - dychu. Wóz prawie już pusty. Pewnie się stary dorwał do „Gromady“, albo „Zielonego Sztandaru“ i zapomniał o robocie w polu.

Janos przyprowadził do Głębinowa trzech synów i wraz z nimi należał do założycieli Zespołu. Jego namiętność — obok fajki — stanowiła polityka. Był ludowcem, starszy syn również, dwaj młodsi należeli do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Ludzie we wsi mówili o nim, że ma dwa stronnictwa w domu. Nie dezorganizowało mu to pracy. Mimo zimy i małego nasilenia robót, zachodził z synami prawie co dzień do spółdzielni.

Wbrew przewidywaniom, Janos przywiózł nowy zapas żeru dla siewnika. Akurat w momencie, gdy ostatnie szufle znikały już w głodnej gardzieli maszyny.

— Wymierzyliście czas do minuty — śmiał się Lis. — Po słonku-ście poznali, czy po naszej robocie?

— Po sprawności siewnika, kiej ci już o to chodzi — stary odparował żart. — Dryblas z ciebie długi jak dyszel, a prostych rzeczy nie wiesz. Przeprzągnę konie i zaraz wracam — dodał po chwili. — Wystarczy wam tego chyba co najmniej do obiadu...

Założył konie do pustego wozu i zawrócił w kierunku wioski. Kontynuowali robotę.

Lis stąpał lekko obok koni, potrząsając od czasu do czasu batem, nie tyle z potrzeby jak z przywyku. Dobrze się czuł przy tym zajęciu. Wypełniało mu godziny dnia, przynosiło radość wewnętrzną.

Dwadzieścia lat kończył dopiero, kiedy wojna odeszła, by nie wrócić. Wraz z siostrą przyłączył się do rodziny sąsiada Patoki i wyruszyli z Sądecczyzny na Zachód. Patoka był żonaty z wdową, do której córki, Lenorki, młody Lis zalecał się gorąco. Dziewczyna przodowała w urodzie. Wiele radości zaznał chłopak w domu ojczyma panny.

Z początku w Głębinowie, nie brał dużo pola. Zadowolił się dwoma hektarami i domkiem. Dopiero po komasacji otrzymał osiem hektarów. Ogrodził zagrodę płotem, wyłatał dachówkami dziury w dachu. Z uciułanych oszczędności wpłacił większą kwotę do banku tytułem raty za ziemię.

Jednak z obrobieniem pola było trudno. Nie przywiózł z sobą inwentarza jak inni. Przyjechał nieledwie z tobołem w ręce.

Pierwsze roboty w polu przeprowadził wyłącznie cudzymi narzędziami. Z własnych posiadał zaledwie siewnik. To trochę gasiło w nim zapał do samodzielnego gospodarzenia. Właściciel, czuł się prawie jak dawny parobek Otoczka. Ciągle się trza było kłaniać, prosić, odrabiać.

Dlatego przejście na zespołową gospodarkę przyjął bez wewnętrznych oporów. Nie rola, praca na niej, to go brało za serce.

— Nie mógłbym żyć bez roboty w polu. To mi osiadło już we krwi — zwierzał się szczerze Patoce.

Ale Patoka na sprawę założenia spółdzielni patrzył niechętnie. Podobnie jak dwie trzecie mieszkańców Głębinowa. Dorwali się do ziemi jak głodni do rondla i nie mogli się nią nasycić.

— Nie ciesz się i patrz końca. Nie wiadomo co jeszcze przyjdzie — przepowiadał Lisowi mgliście. — Żebyś po niewczasie nie żałował.

Lis śmiał się beztrosko z przepowiedni. Życie nauczyło go trzeźwości. Forma spółdzielczej, nowej dlań gospodarki, pociągała go i ciekawiła. Opowiedział się zdecydowanie przeciw Patoce i innym.

Patoka użył najboleśniejszego argumentu. Zamknął przed nim drzwi domu, odmówił mu prawa do ręki pasierbicy. Żona lojalnie stanęła po jego stronie.

Lis martwił się tym i gryzł. Nie mógł, nie chciał zrezygnować z dziewczyny. Zbyt

---

IGNACY NARBUTT

# CZŁOWIEK I PĘTLA

W październiku czterdziestego drugiego gwardziści rwali wokół Warszawy tory kolejowe. Pociągi wysadzali czym się dało: prymitywnymi wywrotkami, trotylem, dynamitem i starymi artyleryjskimi pociskami..

W nocy z piętnastego na szesnasty października w wielu punktach Warszawy i okolic podmiejskich stanęły szubienice. Pięćdziesięciu więźniom politycznym przywiezionym z Pawiaka hitlerowcy zarzucili pętle na szyje. W ciągu dwudziestu czterech godzin na Lesznie, Wolskiej, Grójeckiej, w Markach i w Rembertowie ludzie wisieli na powrozach.

Dzielnice, w których szalał terror okupanta, były zamieszkałe przez ludność robotniczą. Od lat toczyła się tu walka z faszyzmem, tu demonstrowano przeciwko układom monachijskim, we wrześniu trzydziestego dziewiątego stąd ruszały do boju ochotnicze bataliony robotników, w tych dzielnicach formowano pierwsze partyzanckie oddziały Gwardii Ludowej.

Na jednej z szubienic zawisł, z pętlą zarzuconą hitlerowskim sposobem wokół szyi i wzdłuż czoła, Izydor Koszykowski, działacz Komunistycznej Partii Polski.

*

„Gdzie się urodziłem, trudno napisać. Może w zakładzie położniczym, może na barce nad Wisłą, może na ulicy. Jedno mi jest wiadome, że matką była mi brama Warszawy, a ojcem ulica, ponieważ otrzymałem nazwisko ulicy“.

Oto są słowa Izydora Koszykowskiego z jego pamiętnikarskiej opowieści „Dziecko ulicy“.

Kobieta w szarej sukni, o rękach zgrubiałych jest pracownicą PMS. Z Koszykowskim „poznała się“, jak powiada, dwadzieścia parę lat temu. Dwadzieścia parę lat wspólnego życia, ileż to wspomnień, które wciąż odżywają.

Mijały w ich życiu wiosny i lata, biegnące w przód lata ludzkich kłopotów i człowieczej walki. Życie hartowało rodzinę warszawskich tramwajarzy. Była analfabetką.

— To straszne mieć zdrowe oczy i być ślepą — powiada.

Izydor uczył ją liter w broszurach politycznych, w tych starych broszurach budzących ludzką świadomość. Pokazuje nam fotografię Koszykowskiego. Wspólna, pamiątkowa fotografia Zarządu Związku Pracowników Samorządowych. W Zarządzie tym był przedstawicielem lewicy związkowej.

— Pamiętacie te czasy? Walka toczyła się wówczas nie tylko z sanacją, ale i z bonzami związkowymi.

Bibułę przynosiła z remizy Muranowskiej. Stamtąd, z Murdziela, ze spalonego doszczętnie rewolucyjnego Muranowa, w wiklinowej torbie przenosiła zakazane druki. Zasłania koniuszkiem kolorowej chustki usta, twarz jej obleka się uśmiechem:

— Izydor pisywał korespondencje z życia tramwajarzy. W „Czerwonym“ [1]) opisał dokładnie walkę na ich remizie. Wszystko tam wyłożył. Łamistrejkowską działalność bonzów i terror dwójkarzy. Ostrożniejsi towarzysze powiedzieli mu wtedy: „Za śmiało sobie poczynasz „Czarny“ (taki miał pseudonim), możesz się zdekonspirować“.

Uszło to mu jakoś wtedy. Należał do tego typu ludzi, którym do pewnego czasu wiele uchodzi. Zawdzięczał to swojemu usposobieniu. Był wówczas równie ostrożny jak śmiały.

Koszykowska pokazuje mi wspomnienia jego towarzyszy podpisane nazwiskami i numerami legitymacji partyjnych. Przepisuję następujący fragment:

„W roku trzydziestym czwartym, gdy zostałem przeniesiony ze stacji MZK [2]) — Rakowiec na st. Praga w charakterze konduktora, od razu rzuciła mi się w oczy drobna sylwetka Koszykowskiego, który wciąż przewodził grupie tramwajarzy. Zainteresowałem się bliżej „Czarnym“ i okazało się, że jest naszym towarzyszem.

„Kiedy przyszło mi pracować z Izydorem w jednej brygadzie, zawarliśmy bliższą znajomość. Miał on jakąś niespożytą siłę, która zastanawiała. W chwilach wolnych od zajęć zawsze dyskutował z przeciwnikami politycznymi. Wrogów, jak to się mówi, rozkładał na patelni.

„Koledzy zwracali się do niego o radę w życiu osobistym, czy to w kłopotach służbowych. Komuniści cieszyli się u ogółu tramwajarzy szacunkiem. W akcjach strajkowych w MZK Izydora trzeba było mitygować w zapale bojowym. Stale tłumaczyłem mu, że jesteśmy obserwowani przez ekspozyturę faszystowską, ale Izydor machał tylko ręką i drobną jego sylwetkę wciąż było widać w pierwszych szeregach walczących“.

*

Podczas okupacji mieszkali za miastem, we własnym jednorodzinnym domku w Zielonce. Pobudowali się jeszcze przed wojną. W ciągu wielu lat musieli ze skromnej pensji konduktora MZK spłacać podmiejską parcelę. Największy kłopot sprawiały im dzieci. Tak, ciężko się chowały. Starsza Lidka zawsze była słabowita, młodsza Danka chorowała na płuca.

Właśnie tamtego dnia, gdy zabrało go Gestapo, największy kłopot miała Koszykowska z jego „szpargałami“.

Jak zwykle, o siódmej, miał wrócić do domu. Dokładnie pamięta, że dziewiąta była godziną policyjną.

Wyszła nawet na pole i słyszała strzały karabinowe. Strzelali na torach bahnschutze. Ci to zawsze strzelali. W dzień zabierając żywność podróżnym, w nocy patrolując tory. Tą palbą karabinową dodawali sobie animuszu.

Długo stała przed domkiem wypatrując Izydora. Miał przywieźć sacharynę z miasta. Wieczorem dziewczęta, nim poszły spać, piły gorzką herbatę. Ze snu zbudziła ją Danka.

Twarz jej płonęła ceglastym, gruźliczym rumieńcem, jakby odczuwała, że aresztowanie ojca pociągnie za sobą jej śmierć. Jeżeli go wzięli (a w tych czasach, raczej dziwne się wydawało jeżeli człowiek przychodził normalnie do domu), należało się spodziewać rewizji.

Znalazły parę numerów świeżej „Trybuny“, stare odezwy „Stowarzyszenia Przyjaciół Związku Radzieckiego“ i jakieś zaszyfrowane adresy i nazwiska. W komodzie między bielizną pamiętnik.

Chciały to wszystko spalić. Po długich wahaniach bibułę i adresy zakopały pod kurnikiem, a pamiętnik Izydora schowały zwyczajnie pod poduszkę Danki. Bały się, że zniszczeje w ziemi.

Nad ranem zajechało Gestapo. Gdy otworzyli pokój, w którym leżała Danka zapytali:

— Fleckfieber?

Nie pamięta, by im miała powiedzieć, że mała jest chora na gruźlicę. Wciąż tylko kiepską niemczyzną powtarzała:

— Kleine krank, sehr krank.

Gestapowiec z obrzydzeniem zamykając drzwi od pokoju Danki pozostawił pod jej poduszką „Dziecko ulicy“ Izydora Koszykowskiego.

---

*) Fragmenty nagrodzonego reportażu literackiego.

[1]) „Czerwony Sztandar“, nielegalny organ KPP.

[2]) Miejskie Zakłady Komunikacyjne.

*Ilustrował JERZY MIERZEJEWSKI*

# SIĘ WIOSNA*)

Była sama jedna w domu i wszystko czekało na jej ręce.

— Przydałby się żłobek — pomyślał Lis, siadając do obiadu. — Ulżyłoby jej to trochę. Nie założy się go wcześniej chyba jak przed żniwami.

Jadł i spoglądał na żonę. Wyładniała jeszcze więcej po dziecku. Nabrała kształtów, wargi jej kwitły czerwienią jak pelargonia w doniczce.

— Sprzymierzeńczyni. Taka nie zawiedzie — stwierdził z ulgą.

— Wieczorem masz kurs dla analfabetów — rzekła. — Nie zapomnij pójść do świetlicy.

Roześmiała się przekornie: —

— Nie groźny tam z ciebie nauczyciel. Ledwoś przepchał sześć lat szkoły powszechnej.

Podsunęła mu miskę klusków z warzonym mlekiem.

## NOWY, LEPSZY PORZĄDEK

W zielonej spółdzielczej oziminie pląsały dwa rude zające. Stawały na tylnych łapkach, dotykały się pieszczotliwie pyskami, zakreślały w wesołym pościgu niesymetryczne koła i łuki. Potem zatrzymywały się nagle, lustrowały trzeszczami czarną rolę, po której z sapaniem przetaczał się traktor i znowu, spokojnie już, wracały do przerwanej zabawy.

Na krawędziach gromadzkiej drogi do Głębinowa pniaczyły się kolczaste miotły akacyj. Nie miały jeszcze listków. Były szare i martwe, i srebrny szron, na kształt szychu, migotał na ich gibkich gałązkach.

Koleinami przejazdu, poprzez łachy miałkiego piasku sunęły gospodarskie i spółdzielcze wozy, najeżone narzędziami pracy: bronami, kultywatorami i pługami. Siewniki niby źrebięta biegły z tyłu, przywiązane łańcuszkami do ozwór.

Agronom Słotwiński stał w rannym słonku obok wysokiej pryzmy granitowych kostek, piętrzących się bezładnie na skarpach i rowach przydrożnych. Któregoś dnia, zapewne wtedy, gdy spółdzielnia nabierze już pełnych rumieńców życia, budowę solidnej drogi podejmą chłopskie stwardniałe ręce.

Słotwiński cieszył się, że roboty ruszyły wreszcie w polu. Ten tydzień przygotowań i niepewności mocno mu się już dał we znaki. Spał źle, w półśnie kalkulował czy dość przygotował nawozów i ziarna pod zasiew. Nieśmiało marzył o przekroczeniu planu, choć wiedział, że do tego spółdzielni daleko. Ludzie nie czuli się tu jeszcze swobodnie, robota utykała na nogi jak źle podkuty koń.

Rozglądał się po okolicy.

Pole było matowe jak atłas czy aksamit i przypominało morze w pogodę. Stajania rozwlekały się jak fale — szerokie, ledwo zagięte w kabłąk widoczny. Prawym, chłopskim skrzydłem wspinały się łagodnie ku górze, aby kędyś, daleko, zatrzeć się w błękicie horyzontu. Pióropusze dymu jak stada siwych gołębi wzlatywały ponad czerwone dachy domostw osadniczych.

Lewe skrzydło polnej przestrzeni zniżało się uparcie ku podmokłej dolinie Nysy Kłodzkiej. Z rzadka tylko urozmaicały splacheć — krzew czy skarpa. Zamykało niebokrąg bujne sitowie parków nyskich, z poza którego wychylały się szczerbate czuby wież i kominów miasta. Strome, spadziste ściany katedry Świętego Jakuba i ucięta tępo dzwonnica — brązowiały masywem jak średniowieczne uroczysko.

— Nie tak to daleko jak się widzi — wtrąciła się z uwagą Wiktoria Maliszowa, najstarsza wiekiem członkini głębinowskiego Zespołu. Szła od wsi, niosą nową sztychówkę w suchej garści. Bruzdy miała pogłębić, zaplezione zimowym śniegiem. — Najwyżej sześć albo siedem kilometrów — informowała dalej. — Jak trzeba—nasi piechotą idą do miasta. Przewodniczący czy księgowy chętnie jeżdżą tam rowerami. Polami to nawet przyjemniej niż pociągiem.

Słotwiński spojrzał w kierunku wioski. Głębinów gubił się w pojemnym parowie. Ściślej — odgraniczał zabudowaniami ścianę pól uprawnych od uskoku łąk i słotwin nadnyskich. U wylotu drogi, która wiązała go z uprawami, rozsypał się domostwami po pagórkach, dalej schodził w dół jakby po schodach szkołą i kościołem, aby wreszcie przyciesiami spółdzielni i ostatnich budynków oprzeć się już na przedprożu pastwisk.

Zabudowania ustawiły się po obu stronach ulicy, profilami zwrócone do niej. Były murowane, masywne, często jednopiętrowe. Ogradzał je parkan z desek lub druciana siatka, ocieniały jabłonie, grusze i wiśnie. Ściany ich rzadko oglądały wapno. Osiadł na nich kurz gościńca, poszarzały od słońca i czasu.

Wiele domów trwało tak, jak je odeszła wojna. Straszyły oczodołami okien i drzwi. Wyszarpano z nich deski i dyle na gospodarskie potrzeby, nierzadko i na opał, bo o drzewo tu było trudno, a kopalnie leżały daleko. Osunęły się z krokiew dachówki, zwietrzał tynk i cegły, w szczelinach i wnękach pniaczyła się lebioda i jaskółcze ziele.

Słotwiński myślał o mieszkańcach wsi i o rozmowach, które przeprowadzał z nimi.

Ludzie, którzy tu przyszli od Zakliczyna, Ojcowa czy Przemyśla, nie zaznali wygód w życiu. Wegetowali w ciasnych izbach, niedożywieni, obarczeni dziecięcym drobiazgiem. W obszernych, pobaurowskich domach, podobnych do małych folwarków, poruszali się trochę niezdarnie. Nie zawsze umieli skorzystać z narzędzi, czy maszyn rolniczych, których tu sporo zostało na boiskach stodół i podwórcach. Gospodarzyli prymitywnie, zdani na własne ręce i chudy inwentarz; starym trybem szli na odróbki, popadali w zależność zamożniejszych.

Komasacja, pomoc państwa — ciągle niedostateczna wobec morza potrzeb — nie były w stanie usunąć niedomóg. Rozgoryczenie wróciło znowu do starego gniazda w piersiach. Biedniejsi patrzyli zezem na porastających w piórka bogaczy, sarkali na niesprawiedliwość. Coraz chętniej też dawali posłuch partiom i radiu, coraz częściej zaglądali do „Trybuny“ czy „Gromady“, które zalecały nowe, postępowe formy gospodarki na wsi, pisały o potrzebie oświaty, dokształcania się. Uczyli się trudnych, nowych słów: — racjonalizacja, planowość, kolektywizm.

Agronom przypomniał sobie, co mu opowiadali Malisz i Fryga o założeniu głębinowskiej spółdzielni.

Paru ciekawszych odwiedziło rolniczy zespół spółdzielczy w Śliwicach, o których chodziły w Nyskiem wieści, że pierwsze poszły na „kołchozy“. Chcieli zobaczyć na własne oczy jak to chłopi gospodarzą gromadnie, czy tyją, czy też schudli na spółdzielczym chlebie.

Sądy, jakie przywieźli z sobą do wsi, były różne. „Prywatni“ przepowiadali głód i pomór, spółdzielcy — a było ich ponad czterdziestu — śmiali się głośno z obaw, wychodzili co dzień z piosnką i kosą w pole, szerokie już, nieciemiężone miedzami. Traktory pożerały skiby, jak ofiary moloch biblijny.

— Spróbujemy chyba, chłopcy — rzekł były rymarz spod Częstochowy, Stefan Chmielarz. Diabeł nie wydaje się taki straszny, jak go Salzrat z Weresem malują.

— Śliwiczanie chowają po cztery świnie, każdy ma krowę lub dwie w oborze. My się krzątamy od świtu do zmroku i nie zawsze możemy związać koniec z końcem.

Nadzieje i spodziewania zaczęły wypełniać głowy. Niechęciom przeciwstawiła się ochota. Ścierały się zdania, waśnili sąsiedzi. Dyskutowano przed kościołem, na ugorze przy koniach, w gwarze gromadzkiej świetlicy. Wieś rozłamywała się coraz więcej na dwie, niechętne sobie grupy, na tradycjonalistów i nowinkarzy.

Zebranie założycielskie trwało trzy dni. W ostatnim dniu mężczyźni w większości pozostali w domu. Wysłali żony, które oświadczyły dyplomatycznie, że ich mężowie namyślają się jeszcze.

Ale spółdzielnia — mimo wszystko — zawiązała się. Nie pierwszego, trzeciego typu. Rolniczy zespół spółdzielczy tak jak w Śliwicach. I jakby na przekór walce, narastającej już teraz z godziny na godzinę we wsi, przyjęła nazwę „Zgoda“, nazwę pokoju i pracy.

Słotwiński otrząsł z siebie myśli i ruszył polem w kierunku sapiącego traktoru. Od spółdzielni na przełaj, kroczyli członkowie zarządu: — przewodniczący Chmielarz i księgowy Wiszniewski. Księgowy trzymał w ręce zabrudzony, wilgotny od ziemi brulion.

— Cóż to, na polu chcecie buchalterkę robić? — powitał go żartem Słotwiński.

Oczy Wiszniewskiego błyszczały dziwnie.

— Znalazłem to w opuszczonej leśniczówce nad strugą — rzekł, wyciągając rękę z zeszytem. — Zadanie szkolne Hansa Krauta, syna głębinowskiego faszysty: „Der Fuehrer wird ein grossdeutsches Reich schaffen... Dzieci dwudziestu faszystowskich baurów z Glumpenau uczyły się w szkole na pagórku rasowej nienawiści i ciemiężenia. W tej samej szkole dzieci głębinowskie uczą się wierszy o pokoju i pracy. Kiedy myślę o tym, cosi mnie kleszczami ściska za grdykę.

Wiceprzewodniczący, Soból, nadjechał od zabudowań z wyremontowanym siewnikiem. Grupowy Lis szedł obok niego z kluczem francuskim w ręce. Zatrzymali się przy rozmawiających. Soból wskazał ręką na pole, gdzie krzątali się członkowie spółdzielni. Pochylali się nad robotą, rozrzuceni jak ptaki po stajaniach. Oprócz traktora, pięć par tęgich koni ciągnęło brony i siewniki.

— Widziało się, że ich motorem z domu nie wypcha — Soból utknął spojrzeniem w przestrzeni. — I robią. Jakby pierwsi chcieli ukończyć siewy w powiecie... Ziemia ich wezwała! —

— Nie ziemia... Nie jeno ziemia — Chmielarz ocierał powoli w bluzę, uwalane nawozem ręce. — To coś innego... nowego... Co się tu, w człowieku rodzi... I co się na wsi i we świecie dzieje... Nowy, lepszy porządek.

**Jan Baranowicz**

---

**JAN NAGRABIECKI**

## NIEZNANYM ŻOŁNIERZOM POLEGŁYM

**Gdy ty w zbrodni**
**Majdanka, Oświęcimia, Stutthofu**
**byłeś płonącą pochodnią**
**czterdziestego drugiego i trzeciego roku,**

**ja wozem kładłem drabiniastym**
**cienie na step smutny;**
**wioząc nienawiść za spalone miasta**
**i pożar w sercu, jechałem w jutro.**

**Ty musiałeś cicho pod liliowym murem**
**przystanąć, bo właśnie łapanka**
**i żołnierskie serce, choć nie pod mundurem,**
**mocniej zabiło, trzystu umierało tego ranka.**

**Ja byłem nad Oką,**
**sennie dziewczę mi nad głową śpiewało,**
**że mego brata na śmierć wloką,**
**ale odbierze go polski marszałek.**

**Ty w celi wilgotnej**
**patrzyłeś na kraj przez kraty,**
**ja swój wóz zamieniłem na rotę**
**czołgów. Staliśmy przed chatą.**

**A była to już chata lubelska.**
**Czołg mój spod Moskwy**
**pił samą benzynę i nie znał zielska.**
**Tak wjechałem w pierwszą w kraju wioskę.**

**W zwykłą wiosczynę z klonem i topolą,**
**z żurawiem i gniazdem bocianim**
**i z pełnej piersi wykrzyknąłem polom,**
**że wróciłem, i tylu nas, wszyscy już tu zostaniem.**

**Nic o tobie jeszcze nie wiedziałem,**
**ale ścisnęła mię myśl ponura:**
**Przy drodze jasnej od pożarów**
**może tobą urósł mijany pagórek?**

**Nieznanym bohaterom chwała.**
**Zdjąłem hełm ciężki, chylę czoło.**
**Tabliczka z napisem zatartym wisiała —**
**Cześć Ci, żołnierzu, któryś poległ!**

**Poległeś, gdy ja na drabiniastym wozie**
**zacząłem swą wędrówkę po rosyjskich stepach,**
**by móc zajrzeć rzewnie w oczy brzozie**
**i młocarnią polskie zboże klepać.**

**przełożył Leopold Lewin**

---

*

W książce swej Koszykowski powiada:

„Rano obudziłem się, śnieg z deszczem, flaga, że żal psa wypędzić, a że człek gorszy od psa, więc łazi po mieście i szuka tego czego nie zgubił. Wystawy piękne, pełne kiełbas, szynek, chleba i bułek. Człek ślinkę łyka patrząc na to wszystko. Gdzieś na wystawie rzeźniczej ujrzałem kota szczęśliwego, który nie martwi się o nic, bo się bestia rozwaliła. Ale człowiek jest najgorszym stworzeniem na świecie“.

I oto człowiek wykolejony wojną i bezrobociem, który tak ostro (ostatnia karta pamiętnika dotyczy bodaj końca 1926 r.) osądza człowieka, nabiera potem wiary w ludzkość.

Czyżby to był klasyczny przykład rozdwojenia artysty i człowieka? Tworzywa literackiego i zwykłego człowieczego temperamentu, odczuć naskórkowych i uczuć właściwych?

Z opowiadań Janiny Koszykowskiej wynika, że gdy poznała Izydora, był człowiekiem o usposobieniu ponurym, zamkniętym w sobie jak w ślimaczej skorupie. Towarzysze, których łączyła z Koszykowskim wspólna walka i wspólna praca, opisują Koszykowskiego jako człowieka pogodnego, ba, nawet wesołego, który na wspólnych wycieczkach podmiejskich chętnie grywał na mandolinie i któremu zwykła ludzka zabawa nigdy nie była obca.

Opowieści swego życia nie spisywał na gorąco. Pisał to znacznie później i opisując lata bezrobocia i nędzy, oszustwa propagandy szowinistycznej i szamotań prostego człowieka, oddawał wiernie nastrój tamtych czasów. To nie jest sprawa rozdwojenia, to sprawa dojrzałości artystycznej Izydora Koszykowskiego.

Janina Koszykowska poznała go w ciężkich, męczących latach poniewierki, trudnego losu zdemobilizowanych żołnierzy frontowych pierwszej wojny światowej. Wspomnienia towarzyszy datowane są z okresu, gdy był świadomym proletariuszem, bojownikiem walczącej armii komunistów.

„Dziecko ulicy“ to opis błąkającego się nędzarza, szukającego pracy i legowiska. Koszykowski zamierzał napisać dalszą część swojej opowieści. To by już nie był błąkający się człowiek ulicy, byłby to pamiętnik walki i zmagań proletariatu Warszawy.

I Koszykowski w tej nienapisanej opowieści nie mógłby nienawidzieć człowieka równocześnie walcząc o jego wyzwolenie. Jego miłość, jak i jego nienawiść, nabrały realnych, klasowych kształtów.

*

W tej sprawie, wydaje się, był bardziej śmiały niż ostrożny.

Z rozmów, z czytanych wspomnień z trudem można wyłuskać okoliczności aresztowania Koszykowskiego. Jeden z jego towarzyszy pisze: „Izydor ufał ludziom. I to go zgubiło“.

Ale był przecież doświadczonym bojownikiem zaprawionym do patrzenia ludziom w oczy.

Niejednokrotnie ostrzegano go przed człowiekiem, który od szeregu tygodni wystawał pod remizą na Kawęczyńskiej. Dlaczegoż nie oddał tego młodzieńca, o rozwichrzonych czarnych włosach, w ręce organizacji bojowej?

Trudno odtworzyć, czy powodowała Koszykowskim lekkomyślność, czy też chęć poznania właściwych intencji zdrajcy. W każdym razie mimo nalegań prowokatora nie skontaktował go z organizacją partyjną.

Dość późno się spostrzegł, że jest w kleszczach wrogiego wywiadu. Miał za pośrednictwem oczekującego go przed remizą człowieka otrzymać możliwość zakupienia stempli do fałszywych kenkart. Tuż przed aresztowaniem powiedział:

— Niewiele się prowok ode mnie mógł dowiedzieć, bądźcie spokojni, co by się ze mną nie wydarzyło, nie zdradzę towarzyszy.

Miał rzucić MZK i wyjechać na prowincję. Odwlekał. Został aresztowany na pętli tramwajowej na Powiślu, by w niedługim czasie zawisnąć z pętlą sznura na szyi.

W więzieniu nie dowiedział się o śmierci Danki. Pisał do Janiny Koszykowskiej: „Pociesz chorą naszą dziewczynkę. Powiedz jej, że po burzy na niebie zawsze wychodzi słońce“. Na brudnych kartach pisał o ptakach zaglądających do celi, o ptakach, które poprzez kraty towarzyszyły torturowanym ludziom.

Wspominają towarzysze:

„Gestapo bardzo liczyło na słabość „Czarnego“. Taka to drobna była figurka. Zawiedli się. Duch jego był bohaterski i nie załamał się. Tortury zniósł, jak przystało komuniście, z milczącą pogardą dla oprawców“.

*

Pewien zetempowiec, student Politechniki Warszawskiej, otrzymał list od towarzysza z FDJ w Lipsku.

J. Hahn, który brał udział w końcowym etapie wojny, pisał:

„Nasz naród odpowiedzialny był za faszyzm i wojnę. Naszym zadaniem jest wciąż, by miliony żywych zrozumiały, że po to, aby przeszkodzić śmierci nowych milionów — musimy pójść razem, Niemcy, Polacy i nasi towarzysze radzieccy, młodzi Francuzi i bałkańscy chłopi, chińscy żołnierze i włoscy cafoni“.

Oto fragment odpowiedzi zetempowca:

„Niedawno czytałem książkę Izydora Koszykowskiego. Jest to książka o nędzy i bezrobociu. W ustroju kapitalistycznym nędza i bezrobocie nie tylko są wynikiem wojny, ale i rodzą wojny. Autor tej książki został powieszony jesienią 1942 roku. Hitlerowcy wieszali u nas w dość osobliwy sposób: pętlą od stryczka okręcali czoło tak, by skazańcy przed zawiśnięciem nie mogli krzyczeć. Ale ich głos przestrzega świat przed odrodzeniem faszyzmu i nową wojną. Ludzkość nie chce po raz wtóry zawisnąć na pętli“.

**Ignacy Narbutt.**

# KOLUMNA SATYRY

**USA, Anglia i Francja pragną dokooptować faszystów niemieckich jako czwartego partnera swoich celów agresywnych**

Czterech Jeźdźców Apokalipsy wg Albrechta Dürera.

*Rys. Jan Lenica*

**ZAPROSZENIE DO TAŃCA**

*Rys. Mieczysław Piotrowski*

**NAD LUDZIE**

*Rys. Jerzy Zaruba*

— Trzeba przyznać, że odbudowa odbywa się w rekordowym tempie.
— Ba! Ale co MY się przy tym namęczymy.

*Rys. Karol Baraniecki*

**TRU-MANNA**

*Rys. Zbigniew Kiulin*

**SATELICI**

LUDWIK B. GRZENIEWSKI

# Głos drugiej Ameryki

„Istnieją w Stanach Zjednoczonych dwie grupy głęboko świadome znaczenia kultury w walce klasowej — pisze V. J. Jerome, marksistowski działacz kulturalny i publicysta, którego jedna z książek ukazała się w polskim przekładzie*). — Wyrachowani kapitaliści oraz ich najgorliwsi agenci pragnęliby uczynić z kultury pałkę i narzędzie wstecznictwa. Ci zaś, którzy pojmują po marksistowsku rolę idei w historii, wiedzą, że kultura może być organizującą i mobilizującą siłą w służbie pokoju".

Książka V. J. Jerome'a pisana w roku 1947, dzięki marksistowskiej analizie sytuacji trafnie przewidziała linie rozwojowe i zaostrzenie się konfliktów klasowych. Lata Rooseveltowskiego New Dealu sprzyjały zatarciu istoty toczącej się walki klasowej, partia komunistyczna kierowana przez późniejszego renegata Browdera przekształciła się w bezpartyjną organizację, grzęznąc w błędnych koncepcjach solidaryzmu społecznego i korzenia się przed rodzimym imperializmem. Po wojnie zaczęła się ofensywa ideologiczna, polityczna i gospodarcza amerykańskiego imperializmu, partia komunistyczna zaś pozbywszy się ze swych szeregów Browdera pod wodzą Fostera i Dennisa zdecydowanie podjęła walkę z obozem wstecznictwa i wojny. Przed każdym, chociażby trochę tylko uświadomionym człowiekiem, stanął problem dokonania wyboru. W ciągu pięciolecia (1945 — 1950) amerykańscy intelektualiści i naukowcy przez samą sytuację zmuszeni zostali do zajęcia zdecydowanej postawy.

Powierzchowna „postępowość" wielu wybitnych nawet ludzi pióra, nie poparta zrozumieniem istoty toczącej się walki ani związaniem z partią klasy robotniczej, prysła jak bańka mydlana. O wyrobnikach literackich lepiej nie wspominać. Ryszard Gordon, epizodyczna postać hemingwayowskiej powieści „To Have and Have Not" (1937), w latach New Dealu pisze powieść o strajku w fabryce włókienniczej. Temat wówczas poczytny i aktualny. Ale nawet własna żona mówi mu prosto w oczy: „Zmieniasz poglądy i ideały stosownie do mody, jesteś po prostu sprzedajną szują..." Dziś więc Ryszard Gordon specjalizuje się zapewne w antykomunistycznej i proatomowej nagonce. Zaostrzanie się sytuacji wewnętrznej, faszyzacja i prześladowanie przeciwników politycznych, nieuchronnie prowadzi pisarzy chwiejnych i oportunistycznych, pozbawionych rzetelnego pionu ideowego — do swoistej prostytucji. Tak było w latach przewrotu hitlerowskiego w Niemczech, tak jest dziś w Ameryce i w krajach zmarshallizowanych. Wielu pisarzy niemieckich, którzy po przewrocie hitlerowskim nie zdecydowali się na opuszczenie kraju, odurzonych atmosferą panującą wówczas w Rzeszy, często załamywało się moralnie, wypierając się swych dawnych przekonań i ideałów. Już w 1933 roku 88 pisarzy weimarskich podpisuje adres hołdowniczy do Adolfa Hitlera, zapewniając „wodza" o swej „wierności do ostatniej kropli krwi". Apel ten podpisuje m. in. Hans Fallada i inny pisarz, Ludwig Fink, autor znanej powieści „Jestem głodny". W latach późniejszych załamuje się jeszcze trzeci znany pisarz, Ernst Glaeser, autor „Pokoju", „Rocznika 1902" i „Ostatniego cywila". Z pacyfisty przemienia się Glaeser w redaktora goebbelsowskiej gazety frontowej „Adler im Süden". To samo obserwujemy dziś na przykładzie Steinbecka, Priestleya, Cassou czy Uptona Sinclaira. I oto pisarze-komuniści, jak dawniej Willi Bredel czy Jan Petersen a dziś Albert Maltz czy Howard Fast, biorą na swe barki ciężar walki z reakcją, pociągając za sobą wszystkich uczciwych demokratów.

Te dwie kwestie: walka z sztuką i nauką zaprzedaną imperializmowi, zdzieranie masek, którymi zakrywa on swe prawdziwe dążenia, z drugiej zaś strony uwypuklenie celów i zadań, nielicznych ale ofiarnych i świadomych słuszności swej sprawy demokratów amerykańskich — są tematem rozważań V. J. Jerome'a, który podkreśla stanowczo, że „obrona i propaganda kultury demokratycznej są związane nierozłącznie z walką o Amerykę Ludową, a obrona i poparcie praw i interesów ludu są nierozerwalnie związane z walką o kulturę demokratyczną".

Książka V. J. Jerome'a ukazuje nam oblicze „drugiej Ameryki" od strony publicystyki, uzupełniając w ten sposób zasób wiadomości, który przeciętny czytelnik polski czerpał dotąd z tłumaczonej beletrystyki postępowych pisarzy amerykańskich.

Jerome jest — jak już powiedzieliśmy — publicystą i działaczem kulturalnym. Dlatego też celem jego książki, a raczej większej broszury — stwierdźmy dokładniej, było wyjaśnić pewne kwestie czytelnikowi amerykańskiemu, uczynić ze swej pracy oręż w walce klasowej, doraźny argument w określonej sytuacji politycznej. Jeżeli mimo to, po trzech latach od chwili ukazania się jej w Stanach Zjednoczonych, jest ona nadal pozycją żywą i wartościową, przypisać to należy dużym walorom pióra Jerome'a. Lecz na próżno szukałby ktoś u Jerome'a gruntownej krytyki współczesnej filozofii amerykańskiej czy głębszej analizy reakcyjnych i idealistycznych prądów nurtujących współczesną sztukę. Nie jest to bynajmniej winą autora — inny stawiał on sobie cel — ale obowiązkiem naszym jest zasygnalizować fakt ten czytelnikowi polskiemu. W kilku dosadnych określeniach, popierając swe wywody trafnymi cytatami, demaskuje Jerome ideologów umierającego systemu: irracjonalistyczne i intuicjonistyczne teorie Williama Jamesa, Johna Dewey'a czy F. S. C. Northropa. Ale jeśli kto chce znaleźć naukową krytykę współczesnej filozofii amerykańskiej, sięgnąć musi do prac filozofów radzieckich: M. B. Mitina („Woprosy filozofii", 1948, nr. 3), czy B. E. Bychowskiego „Personalizm amerykański w walce przeciw nauce i postępowi społecznemu", gdzie poglądy Flewellinga, Brightmana i Hockinga poddane zostały druzgocącej, naukowej krytyce.

Jerome wyłuskuje spod osłonek frazesów istotne cele i zadania egzystencjalizmu w jego amerykańskim wydaniu, wykazuje całą wsteczność ofensywy tzw. „kultu wiary", podjętej pod auspicjami Watykanu, a na gruncie sztuki prowadzonej głównie przez T. S. Eliota. Niesposób referować tutaj wszystkich poruszanych przez Jerome'a zagadnień. Pisze np. o panoszącym się coraz bardziej rasizmie, o propagowaniu „wyższości" rasowej Anglosasów. Powołując się na sprawozdanie sporządzone przez Instytut Badań Społecznych Uniwersytetu Columbia, autor konkluduje: „Nie będzie rozkwitu kultury w Ameryce, dopóki wszystkie narodowości nie będą mogły swobodnie rozwijać swej twórczości kulturalnej. Tylko w warunkach całkowitej wolności i demokracji może się rozwijać nasza kultura narodowa".

Specjalny rozdział poświęcony jest zrywaniu „masek imperializmu". Musimy bowiem pamiętać, iż pewne kwestie dla nas oczywiste, dla przeciętnego czytelnika amerykańskiego, poddanego nieustannie silnemu ciśnieniu burżuazyjnego sposobu myślenia, wcale nie są tak oczywiste i proste, i wymagają specjalnych wyjaśnień. Wykazać, czym jest w istocie idea „rządu światowego", na czym polega „amerykański styl życia" czy zwodniczy slogan „wolnej nauki", rzucić snop światła na rolę trockistów w aparacie wydawniczym — to w warunkach imperialistycznej rzeczywistości sprawy ważkie, wymagające ukazania ich „podszewki". Jak trudna, uciążliwa i pełna goryczy jest ta walka, ile pokus czyha na ludzi słabych, a ile ofiarności wymaga ona od świadomych bojowników, niech wyjaśnią chociaż trochę gorzkie słowa autora:

„W książkach i czasopismach możesz pisać o najdalszych krainach, zamieszkanych przez wróżki, lecz jeśli chcesz na pewno znaleźć wydawcę, uczynisz dobrze dając złej wróżce co najmniej akcent rosyjski. Możesz podeptać szacunek swego czytelnika dla prawdy, lecz jeśli wydrwisz socjalizm i materializm dialektyczny, jeśli obrzucisz oszczerstwami komunistów, jeśli sfałszujesz biografię Karola Marksa lub Józefa Stalina, to twoja intelektualna niegodziwość będzie rozsławiana jako nowy realizm na skalę Koestlera. Twoja zdrada klasy robotniczej będzie należycie oceniana w peanach na cześć twego zaprzaństwa, twych „wyznań", czy twej autobiografii i nie minie cię zapłata z rąk Komitetu Nagrody Pulitzera".

Druga część książki poświęcona jest nakreśleniu pozytywnych osiągnięć i zadań demokratycznych intelektualistów amerykańskich. Walcząc z wpływami rewizjonizmu Browdera, znowu zajmuje się Jerome roztrząsaniem kwestii dla nas już oczywistych. Nawołuje do nawiązania do postępowych tradycji kulturalnych swej ojczyzny, wyjaśnia istotę partyjności sztuki, żąda zerwania z pesymizmem i naturalizmem na rzecz marksistowskiego ujmowania faktów i spostrzeżeń. W tej walce „na dwa fronty: przeciwko oportunizmowi na prawicy i sekciarstwu na lewicy" — Jerome główny nacisk kładzie na konieczność łączności marksistów z całością klasy robotniczej: „nie wolno nigdy odrywać się od ludu — oto naczelna zasada obowiązująca marksistę". Z tego też punktu widzenia żąda autor oceny twórczości każdego pisarza. „Istniała tendencja — powiada — do oceniania działalności intelektualisty głównie, jeśli nie jedynie, na podstawie publicznych wypowiedzi, kwalifikujących go jako obywatela o postępowych poglądach. Taka jednostronność mogła się rozwinąć tylko z pomniejszenia zasadniczego znaczenia kultury w walce klasowej i znaczenia kultury dla ruchu ludowo-demokratycznego".

Tak przedstawia się szczupły objętościowo ale bogaty jakościowo głos „drugiej Ameryki". Od czasu ukazania się tej broszury wiele zmieniło się w Stanach Zjednoczonych. Fast, Lawson, Trumbo i Maltz powędrowali do więzień, pisma „Mainstream" i „New Masses" połączyły się w marcu 1948 r. w bojowy, marksistowski miesięcznik społeczno-literacki „Masses and Mainstream", który redaguje znany krytyk Samuel Sillen. Pismo to jest dziś główną kuźnią walki postępowych krytyków, pisarzy i artystów amerykańskich, walki prowadzonej pod przewodem partii komunistycznej, która — jak pisze Howard Fast w wydanej ostatnio broszurze „Intellectuals in the Fight for Peace" — „jednoczy miliony robotników, chłopów i najlepszych przedstawicieli inteligencji, zapładnia ich twórczość artystyczną i wskazuje prostą drogę do socjalistycznego humanizmu".

**Ludwik B. Grzeniewski.**

*) V. J. Jerome: „Problemy nowej kultury" (tytuł oryginału „Culture in a Changing World"), tłumaczyli z angielskiego L. Budrecki i J. Wilhelmi. „Czytelnik", 1950, str. 89.

CZYTAJCIE I PRENUMERUJCIE
Prasę Radziecką
PRENUMERATE PRZYJMUJĄ WSZYSTKIE ODDZIAŁY P·P·K RUCH

WINCENTY MACKIEWICZ

# POSTULATY KRYTYKI RADIOWEJ

Zagadnienie twórczości radiowej, zagadnienie form i gatunków tej twórczości — nie jest sprawą tak prostą, jaką było jeszcze do niedawna, powiedźmy, kilkanaście lat temu, kiedy radiofonia w sensie programowym stawiała pierwsze kroki.

Nowe gatunki tej twórczości, podobne do literackich a jednak odmienne, rządzące się własnymi prawami, właśnie gatunki radiowe — domagają się metodycznych opracowań, sklasyfikowania estetycznego, ustalenia kryteriów różniących je od innych gatunków radiowych i od innych rodzajów twórczości.

Słuchowisko radiowe, radiowa gawęda, sprawozdanie, reportaż dźwiękowy ze studia i z terenu, transmisje i retransmisje wszelkiego rodzaju, radiofonizacje, adaptacje radiowe, audycje dziecięce, młodzieżowe, szkolne, kobiece, rolnicze, żołnierskie, audycje muzyczne i muzyczno-słowne, recenzje z fragmentami tekstów jako żywe słowo radiowe opracowania tekstów dla celów samokształcenia i dokształcania, odkrycia akustyczne — nie tylko kształtują program radiowy, ale wymagają odrębnego traktowania, odrębnych sposobów oceny wartościującej.

Opracowanie chociażby tylko zagadnienia słuchowiska radiowego i jego pozycji w teatrze wyobraźni, omówienie roli i znaczenia słowa, dźwięku i efektów akustycznych, jako materiału podstawowego, i umiejętności subtelnego użycia go w różnych wypadkach radiowej twórczości — to już niemała i niełatwa praca dla radiowej krytyki.

Na opracowanie czeka jakże obszerna dziedzina obcowania z mikrofonem, tym zbiorowym uchem słuchaczy. To samo z omówieniem zasad radiowej reżyserii, to samo z zagadnieniem kształtowania programu radiowego.

Radio jako rodzaj twórczości, taki jak film i teatr, wymaga tak jak i tamte nie oceny referentów programowych czy kierowników literackich — ale oceny opinii. Tak jak przychodzi ocena odegranej sztuki, wyprodukowanego filmu, wydanej książki, napisanego i odegranego utworu muzycznego.

Słuchowisko, audycja — to także czyn artystyczny, który trzeba omówić, trzeba ocenić, zganić czy pochwalić.

Krytyka radiowa na poziomie, fachowa, przygotowana do swoich zadań — tak jak recenzja o książce w piśmie literackim — ma przygotować słuchacza do odbioru audycji, ma go wykształcić, tak jak czytelnika pism kształci krytyka literacka, filmowa czy teatralna.

*

Bronimy samodzielności twórczości radiowej, która domaga się własnej krytyki, własnej oceny, na równi z innymi kategoriami twórczości.

Zainteresowanie tym, co radio przynosi, waga audycji radiowych i prestiżu radiowych autorów, których prace nie powinny mieć charakteru przemijającego przez jednorazowość wykonania — to zadania samodzielnej krytyki radiowej. Powinny być dla niej otwarte łamy pism codziennych i periodyków, żebyśmy mogli tam znaleźć obok recenzji teatralnej i filmowej, obok recenzji literackiej — recenzję radiową, omawiającą dostępnymi dla niej środkami radiowe audycje, słuchowiska, radiofonizacje, audycje muzyczne, recytacje, wskazującą momenty dodatnie i ujemne, oceniającą wykonanie, krytykującą reżyserię czy opracowanie, zabierającą głos w sprawie oprawy muzycznej czy użycia efektów dźwiękowych.

Krytyka radiowa, jeśli ma mieć fachowe podstawy i przygotowanie, powinna domagać się w pierwszym rzędzie radiowej literatury, przekładów i dzieł z dziedziny radia, estetyki radia, dramaturgii radiowej. A trzeba stwierdzić, że taka literatura u nas nie istnieje, nie została wydana, prawdopodobnie nikt jej nie opracowuje i nie przekłada. Wystarczy przejrzeć wydane dotychczas tytuły i pozycje Radiowego Instytutu Wydawniczego. Znajdziemy tam opowiadania Żabińskiego, które z równym powodzeniem może wydać każda inna instytucja wydawnicza, wtedy, kiedy powołana do tego instytucja zapomina o książkach z dziedziny radia, i to nie jego techniki, tylko teorii dramaturgii radiowej, zasad reżyserii, zagadnień programowych.

Rozwój i pogłębienie teoretycznych zagadnień twórczości radiowej warunkuje rozbudowę i udoskonalenie programu radiowego, jego urozmaicenie, jego wynalazczość, barwność, żywość i bogactwo, warunkuje powstanie odpowiedzialnej krytyki radiowej.

Ogłaszane przez radio konkursy na recenzje radiowe dają li tylko materiał orientacyjny dla samego radia, orientują programowców w adaptacji, w przyswojeniu programu przez słuchaczy, ale nie ma w tym ani ciągłości ani fachowości w ocenie. Jeśli są to głosy opinii, to zostają w archiwach radia, poza nagrodzonymi. Nie może tu być mowy o kształtowaniu programu w tym sensie, w jakim się mówi o kształtowaniu zamówienia społecznego przez krytykę literacką, teatralną, filmową czy muzyczną, przez ujawnianie tych opinii.

Oczywiście powstająca w tych warunkach krytyka radiowa musi się domagać powtarzania pewnych wartościowych audycji, ich częstotliwości, tak żeby po recenzji radiowej, podobnie jak po teatralnej czy muzycznej, można było sprawdzić, o ile krytyka ma rację. Chodzi tak jak przy tamtych kategoriach twórczości o konfrontację tego, co zostało nadane, z oceną tych prób. Wtedy również praca i twórczość radiowa stanie się bardziej atrakcyjna, bo przestanie być jednorazowa. Literaci przestaną radia unikać. Przecież na przestrzeni ostatnich kilku lat nie było ani jednego oryginalnego słuchowiska napisanego specjalnie dla radia przez znanego literata. Konkurs na opowiadanie radiowe zachęcał do prób w najłatwiejszej stosunkowo formie radiowej twórczości. Nie powinno to być obojętne dla programowców radiowych, którym w ich pracy pomoże świeże, niezrutynizowane spojrzenie krytyki radiowej, a autorzy już bez obawy jednorazowości swoich wysiłków, chętniej będą tworzyć dla radia.

Krytyka radiowa, publicystyka radiowa — jeśli powstanie, a powstać powinna — przyniesie nowe koncepcje w rozwiązywaniu zagadnień radiowych. Tak jak spieramy się dzisiaj o wykonanie, o styl wykonania tego czy innego programu teatralnego, krytyka radiowa rzuci myśl zorganizowania konkursu wzorowej radiofonizacji jakiegoś wybranego fragmentu literatury czy oryginalnego słuchowiska, przy udziale wszystkich rozgłośni albo przy udziale najlepszych reżyserów radiowych. Szlachetność pomysłu zeszłorocznego konkursu Szekspirowskiego może być przetransponowana z pola teatralnego na radiowe, może być zupełnie dobrą busolą, jeśli chodzi o kierunek poszukiwań. Ze wszech miar interesująca może być próba reżyserii i radiofonizacji przez różnych ludzi i różne rozgłośnie. Może zaczniemy przy współpracy twórczej krytyki radiowej mówić o szkołach radiowych, tak jak mówimy o szkołach w teatrze, w literaturze i w filmie. Może będziemy o niektórych audycjach i słuchowiskach pamiętać dłużej, niż w okresie ich trwania, tak jak pamiętamy o przedwojennej radiofonizacji „Obrony Sokratesa" w niezapomnianym wykonaniu Stefana Jaracza.

*

Do zadań postulującej krytyki radiowej będzie niechybnie należała nie tylko krytyka programu już wykonanego, ale i będącego w przygotowaniu, ale i projektowanego. Krytyk radiowy powinien być w studio, powinien znać sprawy radia, powinien z radiem i w radio być zawsze wtedy, kiedy twórczość radiowa się rodzi i przekształca w formy, w jakich ma do słuchacza docierać.

Krytyk radiowy powinien brać udział z głosem doradczym w naradach programowych, w momentach koncepcyjnych radia, w poszukiwaniach reżyserskich, żeby żadna ze spraw, o których ma pisać i sąd wydawać, nie była mu obca. Chodzi o współpracę, o praktykę radiową dla przyszłych radiowych krytyków.

Ilość zagadnień, ich różnorodność, pole doświadczalne, które ewentualnie musiałaby obsłużyć krytyka radiowa, nie jest małe ani wąskie. Ale żeby o tym mówić obszernie, trzeba przedtem stworzyć krytykę radiową. A krytyka nie powstaje tylko dlatego, że jakaś dziedzina czy grupa zagadnień artystycznych posiada teoretyków tego zagadnienia. Musi istnieć zamiar twórczej krytyki, odpowiedzialnej za stan obecny danej gałęzi i za jej ewentualny rozwój. Czekamy na pionierów krytyki radiowej, nie mniej odpowiedzialnej i potrzebnej niż inne jej rodzaje, po prostu dlatego, że siła oddziaływania radia nie jest od innych mniejsza, ani słabsza.

Oczywiście są to postulaty, poszukiwania, oczywiście są to postulaty szkicowe, wymagające uzupełnień, rozpracowania, głosów krytycznych.

Krytyka radiowa nie istnieje. Nie ma kącików radiowych, nie ma radiowych recenzji, nie ma radiowych polemik, omówień gry, reżyserii, opracowania, oprawy muzycznej, chociażby nawet w tych rozmiarach, jak to jest w dziedzinie filmowej w „Nowej Kulturze". Płodna gałąź najmłodszej twórczości, tak specyficznej — nie posiada własnej krytyki.

Radio jest zrozumiałe — mogą wszyscy powiedzieć. Ale film i teatr także są zrozumiałe. A jednak tamte dziedziny mają ludzi, mają środki, mają narzędzia, którymi tłumaczą, zbliżają, uprzystępniają pojmowanie dziejących się w nich spraw. To samo powinno być z dziedziną radiową.

Ktoś w końcu musi skwitować sądem dodatnim albo ujemnym, analizą opracowania radiowego — wysiłek piszącego dla radia, wysiłek radiowego reżysera, wysiłek montażysty, wysiłek asystenta akustycznego. Przecież ta twórczość towarzyszy nam przez cały dzień, towarzyszy nam częściej, wszechstronniej niż jakakolwiek inna. Jest niezrozumiałe, dlaczego na recenzję muzyczną zasługuje wykonanie w sali koncertowej, a dlaczego nikt już nie chce napisać o prawykonaniu, jeśli się ono odbywa w studio.

Należy przełamać ten apatyczny stosunek do radiowej twórczości, — i powinna to zrobić krytyka radiowa. Ona powinna nauczyć szacunku dla radiowej twórczości — zarówno malkontentów wśród słuchaczy, jak piszących, jak wreszcie pracujących w radio. Ażeby to zrobić — krytyka radiowa powinna się zacząć ujawniać. Ujawniać się na łamach pism i periodyków.

**Wincenty Mackiewicz.**

HALINA ZYLBERTALOWA

# Znowu o świetlicach

W nr 24 „Nowej Kultury" ob. Izabela Ciapalanka w artykule zatytułowanym „Jeszcze o świetlicy" porusza niektóre zagadnienia związane z pracą świetlicową. Chciałabym podyskutować na poruszone w tym artykule tematy. Należałoby określić bliżej o jaką świetlicę chodzi, gdyż metody pracy świetlicowej i jej treść są zależne od tego, z jaką świetlicą mamy do czynienia; np. inaczej ustawi się pracę w świetlicy spółdzielni produkcyjnej, inaczej w zakładzie pracy, jeszcze inaczej w świetlicy szkolnej.

Żeby więc nie mówić o świetlicy „w ogóle", będę mówiła o świetlicy przy szkole zawodowej. Zdaje się, że o takiej świetlicy myślała także ob. Ciapalanka.

Wydaje się ryzykownym twierdzenie ob. Ciapalanki, że: „Zadanie wychowania tego nowego człowieka podjąć ma w szkołach świetlica przy współudziale ZMP".

W szkole kapitalistycznej, gdzie panuje szufladkowanie wiedzy i poszczególnych prac szkoły, świetlica jest odosobnionym królestwem, które kroczy przez siebie i dla siebie tylko urobionymi drogami. W szkole socjalistycznej istnieje cały zespolony system wychowania, który opiera się w pierwszym rzędzie na wychowaniu w procesie nauczania i na wychowaniu przez pracę pozalekcyjną, gdzie najważniejsze miejsce ma organizacja młodzieżowa. Dużo miejsca w pracy pozalekcyjnej z uczniami zajmują zajęcia świetlicowe. Świetlica nie jest zjawiskiem oderwanym od szkoły, ale jest terenem, gdzie odbywa się część pracy wychowawczej szkoły. Konieczne jest celowo wykorzystanie tego terenu, wykorzystanie takie, aby uczeń właśnie w świetlicy uzupełniał swój rozwój przez pogłębianie wiedzy, przez wychowanie estetyczne, przez wrastanie w kolektyw i pogłębienie świadomości klasowej. Mówiąc więc o pracy świetlicowej należy mieć na względzie konkretny plan wychowawczy danej szkoły i rolę świetlicy w realizacji tego planu.

W tym świetle nie ma potrzeby, by kierownik świetlicy tworzył oderwany „wykoncypowany przy biurku" plan pracy świetlicy, natomiast istnieje konieczność nawiązania przez kierownika ścisłego kontaktu z Zarządem Koła ZMP, Zespołem Młodzieżowym, z poszczególnymi wychowawcami klasowymi, nauczycielami, kierownikami kół dla skorelowania wszelkich zajęć pozalekcyjnych.

Świetlica — to nie odrębny system pracy, gdzie alfą i omegą jest kierownik, który lepiej lub gorzej wywiązuje się ze swych zadań. Kierownik nie może sam na poziomie postawić sprawy wszechstronnego rozwoju ucznia, gdyż jest tylko jednostką, a więc posiada możliwości ograniczone.

Świetlica to miejsce dokąd poszczególni kierownicy przychodzą ze swoimi grupami na zajęcia, które mogą być bardzo różnorodne, zaczynając od rozrywek, wieczorów literackich, koncertów, akademii, narad wytwórczych, a kończąc na poważnej pracy samokształceniowej. Te zajęcia powinny być ściśle zaplanowane i rozłożone w czasie tak, aby świetlica była stale wykorzystywana, aby jedni drugim nie przeszkadzali, aby prace były dostatecznie urozmaicone i atrakcyjne.

Słusznie podkreśla ob. Ciapalanka, że jest bardzo duża rozmaitość form pracy świetlicowej, ale niesłusznie czyni z świetlicy decydujący „instrument oddziaływania".

Cała praca szkoły i jej atmosfera to decydujący instrument oddziaływania. W dobrej szkole jest zazwyczaj dobra praca świetlicowa. W innym wypadku trudno nazwać szkołę dobrą.

W artykule swym autorka zastanawia się nad sprawą doboru kierownika świetlicy. Należy stwierdzić, że mamy jeszcze bardzo słabą obsadę świetlic. Kursy nie dały nam jeszcze właściwych ludzi. Trzeba więc pomyśleć o systemie pracy, który by przy obecnej obsadzie personalnej dawał pozytywne wyniki. Trudno ich oczekiwać od jednego, w dodatku nie zawsze na poziomie, kierownika.

Dotychczas popełnialiśmy kardynalny błąd. Oddzielaliśmy często wychowanie od nauczania. Wychowanie zostawialiśmy dla świetlic, a więc dla nieudolnego kierownika, a nauczanie dla wykładowców-urzędników. Rozbiliśmy pracę wychowawczą szkoły, zapominaliśmy często o treści wychowującej nauczania, o tym, że każdy nauczyciel musi być wychowawcą. W pracy świetlicowej często stawialiśmy na jednego kierownika, a rezygnowaliśmy z całego kolektywu nauczycielskiego.

Z punktu widzenia pedagogii socjalistycznej nie wytrzymuje to krytyki. Musimy do świetlicy szkolnej wprowadzić cały kolektyw nauczycielski dla rozwinięcia całego bogactwa form pracy wychowawczej i objęcia nią wszystkich uczniów szkoły. Musimy na teren świetlicy wprowadzić aktywniej ZMP i Zespół Młodzieżowy.

Rola kierownika świetlicy — to nie prowadzenie całej pracy wychowawczej szkoły, lecz kierowanie techniką zajęć. Kierownik świetlicy w porozumieniu z całym zespołem nauczycielskim i organizacjami młodzieżowymi układa terminarz zajęć, czuwa nad ich realizacją, uzgadnia plany, koreluje pracę, przygotowuje potrzebne materiały, współdziała z poszczególnymi grupami, sam prowadzi te zajęcia, jakie odpowiadają jego kwalifikacjom i zainteresowaniom. Kierownik stara się, by świetlica była stale czynna i wniosła istotny wkład w organizowanie kolektywu szkolnego.

Gdy mówimy o kolektywie, warto jeszcze zatrzymać się nad sprawą poruszoną przez ob. Ciapalankę, mianowicie nad sprawą „polityczności świetlicy". Znowu w tym miejscu odrywamy świetlicę od zadań szkoły. Wychowanie w szkole służy sprawie klasy robotniczej i musi być polityczne, toteż każdy dział pracy szkoły, a więc i zajęcia świetlicowe muszą być polityczne. Tylko musimy do tego upolitycznienia podejść głębiej. Bywa często, że młodzież śpiewa „tysiące rąk, miliony rąk, a serce bije jedno", a mimo to działalność szkoły jest reakcyjna.

Chodzi o atmosferę wychowawczą, o dozę szczerości i emocji, jaką daje przy pracy kolektyw kierowniczy szkoły. Chodzi o to, by świetlica w treści i w formie pracy stworzyła atmosferę oddania bez reszty sprawie socjalizmu. Jest to możliwe przy ścisłej współpracy wszystkich komórek szkoły. Jest to możliwe przy ścisłym powiązaniu zajęć świetlicowych z planem wychowawczym szkoły i Koła ZMP, przy ścisłej współpracy szkoły z Podst. Org. Part.

„Czas skończyć z teorią świetlicy dla świetlicy". Świetlica jest dla realizacji zadań szkoły, szkoła jest dla społeczeństwa. O świetlicy należy mówić w powiązaniu z planem wychowawczym szkoły.

Za właściwą pracę w świetlicy odpowiada Rada Pedagogiczna, do której należy także kierownik świetlicy. Odpowiada dyrektor szkoły.

**Halina Zylbertalowa**

JADWIGA ŻYLIŃSKA

# Uwagi o cyrku

Widowisko cyrkowe stanowi jedną z najstarszych i najpopularniejszych form rozrywkowych, dostępnych dla mas. Nic chyba nie jest w stanie dobitniej scharakteryzować roli, jaką cyrk odgrywał w starożytności jak okrzyk „panem et circenses". W późniejszych czasach pojęcie „cyrku" nasiąkło ujemną treścią, w starożytności jednak arena cyrku była terenem popisu zręczności i odwagi i budziła zupełnie naturalny entuzjazm w społeczeństwie, które wyznawało zasadę: „in corpore sano — mens sana". Dopiero pod wpływem ascezy chrześcijańskiej, która zwalczała wszelkie przejawy piękna cielesnego, upatrując w nim siedlisko pokusy do grzechu, nastąpił upadek kultury fizycznej, a masy ludzkie zostały na długie wieki pozbawione źródła tej radości i zadowolenia, jakie wypływają z piękności ciała ludzkiego i jego sprawności. Cyrk, jako instytucja państwowa, spełniająca pewną funkcję kulturalno-wychowawczą w średniowieczu nie istniała. Zgodnie ze swoją strukturą społeczną i normami moralnymi średniowiecze wytworzyło nowy typ widowiska rycerskiego, dostępnego jedynie dla elity, a mianowicie — turnieje. Dla pospólstwa pozostała buda jarmarczna, w której popisywali się żonglerzy, atleci, poskramiacze zwierząt i tancerki, żałosna parodia cyrku, stadionu i teatru starożytnego. Ale nawet w tej szczątkowej formie wędrowni artyści wzbudzali w masach ludzkich zapomniany omal dreszcz zachwytu nad doskonałością ciała ludzkiego i pięknością jego kształtu, uwiecznionego w rzeźbie antycznej. Widowisko wędrownych kuglarzy było wtargnięciem elementu humanistycznego w ascetyczny, przeciwny naturze styl życia wieków średnich. Nic więc dziwnego, że władze kościelne zaciekle zwalczały wszelkiego rodzaju komediantów, a nawet po śmierci zwłoki ich kazały grzebać w ziemi niepoświęconej.

Wędrowni artyści tworzyli w społeczeństwie średniowiecznym osobną społeczność. Z chwilą kiedy ktoś przystawał do nich, tracił wszelkie oparcie i poczucie wspólnoty z resztą ludzi. Zaczynał wieść cygański tryb życia, należeć do wielkiej rodziny komediantów. Z czasem do różnorodnych produkcji, odbywających się w budzie jarmarcznej czy odpustowej, została dołączona menażeria, a jeszcze później występy hipiczne. I tak z nielegalnej omal w średniowieczu trupy wędrownych kuglarzy zrodził się nowożytny cyrk. Rozkwit cyrku przypada na drugą połowę wieku XIX. Jak głęboko jednak musiała być zakorzeniona w ludziach areny świadomość egzystencji poza ramami istniejącego porządku, świadczy fakt, że nawet w okresie największej swojej świetności cyrk pozostał społecznością omal równie zamkniętą, jak była nim buda jarmarczna w wiekach średnich. Większość artystów stanowili cyrkowcy z dziada pradziada, stare klany wędrownych sztukmistrzów, którymi rządził ustrój patriarchalny. Ciągnęli do nich outsiderzy różnego kalibru, wykolejeńcy życiowi, poszukiwacze przygód i wsiąkali w społeczność cyrkową.

W burżuazyjnej, kapitalistycznej Europie XIX wieku cyrk stanowi jakiś rezerwat egzotyki, który działa na wyobraźnię mieszczuchów i fascynuje pisarzy. Ten specyficzny urok cyrku okazał się jednak rzeczą trwalszą niż ustrój burżuazyjny.

Niedawno nakładem „Książki i Wiedzy" ukazała się powieść czeskiego autora Edwarda Bassa p. t. „Cyrk Humberto" *). Dziś kiedy słowo „cyrk" zatraca już swoje wyjątkowe w sensie pogardliwym (pomimo niewątpliwej magii jaką roztaczał) znaczenie, książka Bassa nabiera dokumentalnego omal charakteru.

„Cyrk Humberto" zawiera dzieje cyrku na przestrzeni jednego wieku — od budy jarmarcznej starego dziadka Humberta aż do teatru rewiowego Wacława Karasa w Pradze. Dziadek Carlo Humberto miał szczęśliwy pomysł tresując chłopskie koniki, które dały początek wspaniałym popisom hipicznym na arenie „Cyrku Humberto". Właśnie te popisy jeździeckie zadecydowały o olbrzymim powodzeniu cyrku w drugiej połowie XIX wieku.

„Na czele zróżnicowanych państw i narodów stała jeszcze arystokracja, sama w przeważnej części wychowana w angielskich obyczajach i na angielski sposób. Renesansowy typ arystokraty, będącego mecenasem nauki i sztuki wymierał, reprezentowany przez rzadko już tylko spotykane jednostki. Znacznie żywotniejsze natomiast było zainteresowanie dla przyjemnych stron życia, w których na jedno z pierwszych miejsc wysuwała się pasja do rasowych koni i egzaltowany entuzjazm dla sztuki jeździeckiej. Jeśli tylko przybył do stołecznego miasta dobry cyrk w ślad za nim zjeżdżała ze swych rezydencji wiejskich arystokracja i zakupywała loże na szereg dni z rzędu, by tylko napatrzeć się do syta na dobierane, starannie pielęgnowane ogiery, wałachy i klacze, osądzać sztukę, ich jeźdźców i treserów, a w przerwie robiła z cyrkowych stajen swoją prywatną promenadę. Wspaniały gest rycerskich turniejów, owo pełne patosu uwielbienie dla awanturniczego bohaterstwa, które polegało na tym, że padano z ochotą w boju za nic, dla pięknej postawy, wszystko to dawno już znikło z życia tych ludzi, żyjących resztkami dogasającej chwały, ale odradzało się znów w wędrownym bractwie jeździeckim, w tych ubogich rycerzach bez ziemi i herbów. Dopóki jeszcze w coraz słabnącej pamięci rodów szlacheckich tkwiła myśl o tamtym bohaterstwie, które zanikło, wabił ich do siebie złoty krąg areny, jako odbicie dziedzińca ich przodków. Jak somnambulicy szli za tym zwidem swojej przeszłości. Przyprowadzał on ich do ludzi, którzy tak samo, jak oni stanęli poza społecznością mieszczańską z tą różnicą, że na przeciwnym biegunie."

W miarę jak postępowała industrializacja Europy i maszyna parowa wypierała konia jako środek lokomocji, cyrk, wędrujący traktami z miasta do miasta, co trwało nieraz tygodnie, stawał się anachronizmem. Bogate mieszczaństwo, które zaczęło wywierać decydujący wpływ na sukces kasowy cyrku nie miało też gustu do koni ani tego szerokiego gestu, jakim odznaczali się arystokraci i monarchowie obsypujący swoimi łaskami dyrektorów wędrownych cyrków. „Cyrk Humberto" usiłuje przez czas jakiś utrzymać tradycyjną formę widowiska, podczas kiedy jego konkurent z Berlina, Kranz, idzie na ustępstwa, zaczyna gonić za sensacją, pokazywać dziwolągi i potwory. Agnieszka Berwitzowa, żona dyrektora „Cyrku Humberto" dostrzega pierwsza to załamanie się dawnego stylu w cyrku: „To nie jest żaden styl wsadzać pomiędzy ładne stworzenia i doskonałe produkcje upośledzonych ludzi. Przecież to wygląda jak musza plamka na obrazie. Szukamy ciągle czegoś pięknego, siły, młodości, świeżości, wdzięku, a naraz...". A jednak na tych dziwolągach zrobił później cyrk Barnuma w Ameryce sławę i majątek. „Cyrk Humberto" wystawia jeszcze ciągle widowiska z mnóstwem koni, z tygrysami i lwami, lecz powoli zbliża się do bankructwa. Cyrk, dawny cyrk z pantominą, menażerią, woltyżerkami i akrobatami przestaje bawić publikę z końca XIX wieku. Typ barwnego i naiwnego widowiska, ukazującego piękno ciała ludzkiego i jego sprawność bez pikanterii i dwuznaczności nie odpowiada gustowi mieszczaństwa z epoki dekadentyzmu. Arystokracja przestaje wykupywać loże, a entuzjastyczne tłumy na galerii nie są w stanie zapewnić cyrkowi utrzymania. Wacław Karas, dyrektor „Cyrku Humberto" likwiduje cyrk i otwiera w Pradze wielkie Variété.

Akrobacja parterowa w Cyrku Nr. 2

Atmosfera variété była całkowicie różna od cyrkowej „W cyrku też miewali czasem występy, w których kobieta pokazywała się w trykocie, ale nigdy nie było to obliczone na to, by podniecać i wabić mężczyzn. W trykocie występowały gimnastyczki i akrobatki, ponieważ tak robiło się od dawien dawna i ponieważ był to strój najbardziej do tego odpowiedni. I na taką kobietę wszyscy patrzyli jak na piękną rzeźbę. Tu jednak wszystko zmieniło się w wyrachowaną, demonstracyjną zmysłowość." Wacław Karas pomimo iż ustępuje pod naciskiem gustu publiczności posiada zalety dawnego cyrkowca: zna się na artystycznej wartości produkcji i chodzi mu o poziom programu. Do pewnego stopnia jest jednak unikatem: „Z pana jest biały kruk, dyrektorze — mówi jeden z artystów. — Dyrektor, który coś umie, będzie się niedługo pojawiał już tylko przy wykopaliskach. Gdzie się człowiek tylko zjawi, wszędzie rozwala się pan przedsiębiorca ze swoją spekulacją, a przy nim komiwojażer w charakterze dyrektora artystycznego. Ich pierwsze zmartwienie to mieć futro i cylinder, pierścienie, grube cygaro w białej cygarniczce i wyglądać reprezentacyjnie."

Groteska akrobatyczna w Cyrku Nr. 2. przebywającym obecnie w Warszawie.

Wacław Karas tęskni jednak w dalszym ciągu za cyrkiem. Kiedyś musi jeszcze wystąpić na arenie. Odkłada to marzenie z roku na rok, aż wkońcu na zrealizowanie jego jest już zapóźno. Powieść kończy się bankietem pożegnalnym, który papa Karas wydaje w Pradze i na który zaprasza gwiazdy z całego świata.

„Cyrk Humberto" ukazuje nam kolejne etapy, przez jakie przechodziła instytucja cyrku w wieku XIX, moment jego szczytowego rozkwitu i moment rozkładu na tandetne widowisko dla mas z dziwolągami i potworami i variété przeznaczone dla elity, żądnej erotycznych wrażeń. „Cyrk Humberto" jest wprawdzie nazwą fikcyjną, lecz w walce Berwitza z Kranzem możemy domyśleć się konkurencji dwóch rzeczywiście istniejących niemieckich cyrków: Buscha i Renza. Obok postaci fikcyjnych figurują w powieści nazwiska i osoby powszechnie znane z dziejów cyrku: Wolschläger, arcymistrz w tresurze koni, bracia Hagenbeck z Hamburga, Cyrk Barnuma i t.d. Edward Bass potrafił odtworzyć ową szczególną atmosferę cyrkową, na którą składała się wielowiekowa tradycja ludzi, dla których domem, ojczyzną i rodziną była buda cyrkowa, a jedynym majątkiem rzemiosło, które każdy starał się doprowadzić do granic doskonałości. Zespołowa praca w cyrku wyrobiła w ludziach areny poczucie solidarności, które wzmacniał jeszcze patriarchalny charakter tej instytucji. Patriarchalny — to znaczy, że w gruncie rzeczy wielka „rodzina cyrkowa" zdobywała sławę i majątek dla dyrektora za łyżkę strawy i pryczę w domku na kółkach. Taka jest prawda o życiu cyrkowców, ale prawda niezupełna. Gdyż każdy artysta cyrkowy pracował „nad normę" przede wszystkim dlatego, że kochał swoją sztukę i tylko dzięki temu umiłowaniu był w stanie wywoływać ten dreszcz zachwytu, podziwu i emocji, jaki elektryzował tłumy na widowni cyrkowej we wszystkich krajach i epokach.

Cyrkowcy z „Cyrku Humberto" Bassa, to pół analfabeci, specjaliści w swoim zawodzie, których burżuazyjna publiczność podziwia i oklaskuje, ale którymi w głębi serca gardzi. Tę pogardę zdołała również wpoić drobnomieszczaństwu i chłopom, którzy z największą nieufnością spoglądają na cyrkuśników. A arystokracja? Jest jakaś osobliwa ironia w tej trafnie przez Bassa podpatrzonej sympatii klasy ex-rycerskiej dla cyrkowej deformacji parady turniejowej, jaką reprezentował z swoimi heroldami, giermkami i fanfarami cyrk XIX wieku. Pomimo jednak, że o sukcesie kasowym cyrku decydowała arystokracja i burżuazja, cyrk nigdy nie przestał być widowiskiem przeznaczonym dla mas. W dużej mierze odgrywa tu znowu rolę tradycja. Podczas kiedy teatr z ludowego stawał się teatrem intelektualnym, zrozumiałym dla elity, buda wędrownych żonglerów pozostała bliska i dostępna dla ludu. Bez względu na to, jaka będzie treść programu cyrkowego, cyrk zawsze będzie przyciągał bez porównania szersze masy publiczności niż teatr, koncert czy galeria obrazów. I dlatego w obecnej chwili treść widowiska cyrkowego nabrała szczególnego znaczenia. Cyrk u nas przechodzi wielkie przeobrażenia. Po zlikwidowaniu teatrów variété, obliczonych na specjalną publiczność, część naprawdę wartościowych numerów została włączona do programów cyrkowych. Mam na myśli przede wszystkim różne numery taneczno-akrobatyczne, które wyrabiają wrażliwość widza na piękno plastyczne. Tresura zwierząt przestaje obecnie stanowić główny punkt programu cyrkowego. Funkcję menażerii spełnia ZOO. Rzemiosło cyrkowe przestaje również być tajemną wiedzą przechodzącą z rodziców na dzieci. Staraniem Dyrekcji Cyrkowej została otwarta w bieżącym roku szkoła akrobatyczna (o której mało komu jest wiadomo) na wzór szkoły baletowej czy teatralnej, gdzie uczniowie i uczennice przyswajają sobie podstawy konieczne do zawodu cyrkowca. Sprawa tekstów cyrkowych była niejednokrotnie poruszana u nas w prasie. Niestety ciągle jeszcze nie jest ona postawiona jak należy. Jest to zresztą kwestia bardzo trudna, gdyż Polska nie posiada dobrej tradycji cyrkowej, będąc w epoce rozkwitu cyrku pozbawiona niepodległości politycznej. Znany clown Fratellini, spadkobierca postępowych tradycji francuskich, stworzył ongi parodię rentiera, która przyniosła mu szalony sukces. U nas niedawno w jednym z cyrków widziałam występy popularnego z „Przekroju" Profesora Filutka. Było to nawet dosyć zabawne lecz pozbawione wartości społeczno-wychowawczej. Wydaje mi się, że w naszych stosunkach wprowadzenie takiego Augusta Bęc-Walskiego byłoby rzeczą o wiele bardziej racjonalną. Do tego jednak konieczna jest współpraca literatów, reżyserów i aktorów. Artyści cyrkowi podlegają u nas Ministerstwu Kultury i Sztuki, podobnie jak artyści innych teatrów; ci ostatni jednak niechętnie współpracują z cyrkami i uważają się za klasę wyższą w hierarchii społecznej. Dopóki to nastawienie będzie trwało trudno o to, ażeby cyrk spełniał taką funkcję kulturalno-wychowawczą, jakiej od niego wymaga państwo socjalistyczne.

Sprawy cyrku były u nas wielokrotnie poruszane, lecz mam wrażenie, że raczej marginesowo. Może nie mało przyczyniła się do tego ekskluzywność środowiska cyrkowego, które nie posiada fachowych znawców i krytyków w tym stopniu i tej ilości co środowisko teatralne. A przecież w państwie socjalistycznym spektakl cyrkowy przestał być imprezą o charakterze w pierwszym rzędzie dochodowym. Cyrki docierają na zapadłą prowincję i przedstawienie cyrkowe ściąga tłumy publiczności, często zupełnie świeżej, dla której jest to pierwsze zetknięcie ze sztuką w ogóle.

Jeżeli w tradycyjnych igrzyskach olimpijskich występowali obok gladiatorów poeci, jest chyba rzeczą możliwą ażeby program cyrkowy składał się z numerów, w których popisy sprawności fizycznej będą sąsiadowały z występami komików-aktorów dysponujących inteligentnymi tekstami. Wydaje mi się, że dopiero tak złożony program, w którym każdy artysta da maximum wysiłku w swojej dziedzinie może stworzyć całość, która spełni swoje kulturalno-wychowawcze zadanie.

Na to jednak potrzebne jest jeszcze przełamanie pewnych oporów psychicznych, które w artyście cyrkowym każą widzieć jakąś anomalię społeczną, bytującą na marginesie wszystkich klas i wychowanie nowych kadr cyrkowych w poczuciu łączności ze społeczeństwem, z którego w średniowieczu zostali wyklęci.

Jadwiga Żylińska

*) Edward Bass „Cyrk Humberto", wyd. „Książka i Wiedza". Przełożył z czeskiego Zdzisław Hierowski.

WAWRZYNIEC ŻUŁAWSKI

# WŚRÓD WYDAWNICTW PWM

Gdy patrzę na zeszyty utworów muzycznych, które tylko co opuściły maszyny drukarskie Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, staje mi przed oczyma chwila, gdy w 10 miesięcy po zakończeniu wojny miałem okazję demonstrować w Londynie pierwsze polskie osiągnięcia w zakresie wydawnictw muzycznych. Pamiętam zdumienie angielskich muzyków i wydawców, gdy — prawie z niedowierzaniem — brali do ręki pięknie sztychowane partytury najnowszych polskich utworów. Nie mogli sobie wprost wyobrazić, że w kraju do tego stopnia wyniszczonym wojną mogą już istnieć tak silne dowody kształtującego się na nowo życia kulturalnego.

Takie były początki stworzonego tuż po wojnie Polskiego Wydawnictwa Muzycznego w Krakowie, które pod niezmordowanym kierownictwem swego inicjatora dyr. Tadeusza Ochlewskiego, przy niezmiennej opiece i pomocy władz państwowych, osiągnęło rozwój, o jakim nie marzyło nam się nigdy w czasach przedwojennych.

Dla zilustrowania, jak ogromne jest obecnie nasilenie działalności PWM, wystarczy powiedzieć, że w ciągu kilku miesięcy od czasu gdy poświęciliśmy recenzję wydawnictwom muzycznym („Kuźnica" z dn. 25 grudnia 1949 r.) przybyło kilkadziesiąt (bodajże blisko 100!) nowych pozycji. Toteż leży obecnie przed nami spora paka wydawnictw imponująca nie tylko ilością, ale i wysoką jakością, oraz wszechstronnością, od partytur orkiestrowych do literatury pedagogicznej, chóralnej i pieśni masowej. Ambicją PWM jest bowiem pokrycie zapotrzebowania wszystkich działów naszego rynku muzycznego.

Zbyt wiele czasu i miejsca zabrałoby omawianie każdej pozycji z osobna. Ograniczymy się więc do przeglądu poszczególnych działów, co najlepiej zobrazuje nam rozpiętość i rozmach pracy wydawniczej PWM.

Jednym z najważniejszych bezsprzecznie wydarzeń polskiego życia kulturalnego jest podjęcie pomnikowego wydania dzieł Chopina. W stulecie śmierci wielkiego twórcy ukazały się pierwsze zeszyty tego wydawnictwa, o czym informowaliśmy we wspomnianej recenzji. Obecnie ukazał się w sprzedaży tom z kolei już szósty: „Sonaty"[1]). Zawiera on zarówno młodzieńczą Sonatę C-moll (op. 4), jak i obie genialne Sonaty b-moll ( z Marszem Żałobnym) i h-moll. Sztych i szata graficzna nie odbiegają od wysokiego poziomu tomów poprzednich. Znajdujemy i tutaj portret Chopina oraz facsimile jego autografów. Wzorowe opracowanie i wnikliwe komentarze zespołu redakcyjnego: Paderewskiego, Bronarskiego, i Turczyńskiego — wielkiego artysty, wybitnego chopinologa i świetnego pianisty-pedagoga — podnoszą znakomicie wartość wydawnictwa. Tak oto realizuje się w szybkim tempie uchwała Rady Ministrów: z inicjatywy Instytutu Fr. Chopina, z funduszów Komitetu Roku Chopinowskiego, w zakładach sztycharskich PWM powstaje dzieło wielkie i trwałe — powstaje najlepsze w świecie zbiorowe wydanie twórczości Chopina.

Absorbujące prace wokół druku Dzieł Wszystkich Chopina nie przeszkodziły PWM ruszyć z miejsca beznadziejną, zdawałoby się dawniej, sprawę wydania utworów innych kompozytorów polskich XIX wieku. Utwory fortepianowe **Zarębskiego** i **Lessla** (wydane w serii: Pedagogiczna Biblioteka Fortepianowa), wydobyte z pyłu zapomnienia i „odświeżone" przez Fitelberga i Rowickiego partytury orkiestrowe uwertur do oper: „Calmora" i „Dwie Chatki" **Karola Kurpińskiego**, oraz koncert klarnetowy tegoż kompozytora — oto najnowsze pozycje. Co najważniejsze jednak, uczyniono pierwszy krok w kierunku zlikwidowania jednej z najbardziej zawstydzających luk kulturalnych polskiego życia muzycznego: rozpoczęto druk dzieł **Stanisława Moniuszki**. Ukazała się, jak dotąd, popularna uwertura koncertowa „Bajka" (opracowanie: W. Rowicki), uwertura do opery „Flis" (opr. K. Sikorski) i do opery „Hrabina" (opr. G. Fitelberg), oraz kilka drobniejszych utworów. Obok przedwojennego wydania „Strasznego dworu" są to dosłownie pierwsze pozycje twórczości Moniuszki wydane według współczesnych wymagań. Z radością możemy poinformować Czytelników, że plany PWM są w tej mierze bardzo szerokie. Już niemal gotowe jest nowe wydanie „Halki" opracowane na podstawie krytycznie przejrzanych materiałów dawniejszych przez prof. K. Sikorskiego, wybitnego znawcę muzyki Moniuszki.

Zrozumiałe jest, że obok odrabiania zaległości wydawniczych za przeszłe pokolenia kierownictwu PWM w nie mniejszym stopniu leży na sercu sprawa drukowania dzieł żyjących kompozytorów polskich. Mamy tu do zanotowania szereg pozycji, że wymienimy choćby „Kantatę na pochwałę pracy" **Bolesława Woytowicza**, Koncert skrzypcowy **Piotra Perkowskiego**, Uwerturę Śląską **Zygmunta Mycielskiego**, Wariacje symfoniczne **Artura Malawskiego**, czy Polonez uroczysty **Ludomira Różyckiego**. Obok tych dzieł orkiestrowych ukazała się spora ilość utworów fortepianowych (**Gradsteina, Wrobla**), skrzypcowych (**Bacewiczówny, Malawskiego, Wiechowicza**), wielka liczba pieśni solowych (**Gradsteina, Lutosławskiego, Perkowskiego, Sikorskiego, Szałowskiego, Szeligowskiego, Wiechowicza**, „Suita Polska" **Panufnika**,) oraz dwa utwory na głosy solowe, chór i orkiestrę, względnie fortepian („Śląsk pracuje i śpiewa" **Maklakiewicza** i „Suita weselna" **Szeligowskiego** — oba stanowią opracowanie pieśni ludowych). Literatura dziecięca wzbogaciła się o „Suitę taneczną" **Ireny Pfeiffer** i „Piosenki dla dzieci" **Alfreda Gradsteina** (do słów Ewy Szelburg-Zarembiny).

Ważnym działem PWM jest seria: „Polska Literatura Chóralna", przeznaczona dla obsłużenia nie tylko chórów zawodowych, ale również amatorskich (świetlicowych, szkolnych i in.). Jak duży nacisk kładzie kierownictwo PWM na ten dział, świadczy choćby ilość 112 wydanych w nim dotąd zeszycików. Ostatnie zawierają opracowania polskich pieśni ludowych (**Rączkowskiego, Wiechowicza**), oraz pieśń **Mycielskiego** „Kwiaty na tor" (do słów Gałczyńskiego). Uzupełnieniem tego działu jest „Biblioteka Dyrygenta Chórowego" pod red. S. Wiechowicza. W serii tej ukazał się obecnie zbiór chorałów czterogłosowych J. S. Bacha.

Stosunkowo skromnie przedstawia się dział pieśni masowej. Dwie pozycje („Marsz robotników" **Gawlasa** i „Pieśń marszowa robotnika polskiego" **Modrakowskiej**) — to mało. Mamy jednak nadzieję, że zbliżający się Festival Współczesnej Muzyki Polskiej, na którym pieśń masowa będzie szczególnie uwzględniona, dostarczy Wydawnictwu obfitego materiału.

Działy, które powinny spełnić ważną rolę w upowszechnieniu muzyki, to „Biblioteka Orkiestr Dętych" i „Biblioteka Małych Zespołów — „Odeon". Znajdujemy w nich wartościowe utwory (ostatnio wydane: Kujawiak **Wieniawskiego**, Marsz ze „Sprzedanej Narzeczonej" **Smetany**, Polonez **Ogińskiego** i Mazur z „Halki" **Moniuszki**) opracowane przez rzetelnych specjalistów na orkiestrę dętą, względnie t. zw. „zespół odeonowski" (tj. zespół odpowiadający mniej więcej różnego typu „orkiestrom salonowym", z fortepianem lub bez).

Podkreślić należy, że wszystkie te wydawnictwa odznaczają się niezwykłą starannością druku i korekty, oraz estetyczną szatą zewnętrzną.

Jako osobną pozycję należy wymienić (w dziale „Pedagogika, teoria, historia") książkę dr. **Stefanii Łobaczewskiej**: „Zarys Historii Form Muzycznych", dzieło na naszym gruncie całkowicie pionierskie.

Już z tego pobieżnego przeglądu widzimy, że o ile przed wojną ukazanie się jakiejś partytury, czy książki o muzyce było niebywale rzadkim ewenementem, o tyle obecnie mógłby ktoś postawić zarzut, iż PWM wydaje zbyt wiele i zbyt pochopnie, że obok dzieł cennych znajdą się niewątpliwie także mało wartościowe. Takiego zarzutu nie uważalibyśmy za słuszny. Do przyszłości bowiem należy osądzić, które pozycje pozostaną, a które pójdą w zapomnienie. Obowiązkiem teraźniejszości jest utrwalenie możliwie jak największej części tego, co stworzyła współczesność. Ten zaś obowiązek spełnia PWM, w sposób budzący najwyższe uznanie.

Wawrzyniec Żuławski

[1]) **Fryderyk Chopin:** Dzieła Wszystkie. T. VI. Sonaty. Red. I. J. Paderewski, L. Bronarski, J. Turczyński, Instytut Fr. Chopina — Polskie Wydawnictwo Muzyczne Warszawa — Kraków 1950, 4-o, str. 143.

# KRONIKA RADZIECKA

## OTWARCIE PANORAMY „BITWA STALINGRADZKA"

W jednym z kin stalingradzkich została otwarta piękna panorama malarska nosząca tytuł „Bitwa stalingradzka". Panorama przedstawia obraz walk pod Stalingradem, które zdecydowały o zwycięstwie wojsk radzieckich nad najeźdźcami. Autorem dzieła jest grupa wojskowych wychowanków studia im. Grekowa, składająca się z malarzy: A. Gorpienki, P. Żigimonta, G. Marczenki i N. Andrijaki. Panorama wzbudziła wielkie zainteresowanie wśród szerokich mas społeczeństwa.

## Z MUZYCZNEJ TWÓRCZOŚCI UKRAINY

Muzyczna twórczość Ukrainy wzbogaciła się ostatnio szeregiem utworów symfonicznych i chóralnych. Prasa radziecka podkreśla w szczególności walory trzeciej suity („Pieśń lasów") A. Sztoharenki, kantaty „Niech pieśń nasza wzlatuje nad morzem" K. Dominczyna i koncertu na fortepian z orkiestrą E. Szulmana. Wyróżniają się R. Simowicz poematem symfonicznym p. t. „W Karpatach" i A. Sołtys „Uwerturą powitalną" na orkiestrę symfoniczną. Świeżością obrazów muzycznych odznaczają się utwory młodych kompozytorów, jak: Symfoniczna suita „Zakarpackie szkice" W. Homolaki, trzecia symfonia J. Władimirowa i koncert na skrzypce z orkiestrą J. Znatakowa, a także cykl romansów M. Dremlugi, J. Cejglara, F. Nadinenki i innych.

## ZAPOZNANI REALIŚCI XIX W.

W Leningradzie ukazał się nader ciekawy, dwutomowy zbiór utworów mniej znanych realistów pt. „Rosyjskie powieści XIX wieku, 20-ych — 30-ych lat". Są to przeważnie dzieła, odzwierciedlające realistyczny kierunek literatury rosyjskiej, który rozwinął się pod wpływem twórczości Puszkina, Lermontowa, Gogola. W pierwszym tomie tego zbioru ukaże się między innymi powieść W. Narieżnego pt. „Garkusza małorosyjski rozbójnik". Powieść ta została skonfiskowana przez carską cenzurę i dopiero teraz ukazuje się po raz pierwszy w druku. Wiele utworów wchodzących w skład wspomnianego zbioru, które swego czasu pozytywnie ocenił W. Bieliński, dawno nie były wydawane i uchodziły za bibliograficzną rzadkość.

## NOWY DOKUMENTARNY FILM UKRAIŃSKI

Ukraińskie studio filmów dokumentarnych rozpoczęło pracę nad nowym filmem kolorowym pt. „Kwitnąca Ukraina". Autorem scenariusza jest znany literat ukraiński A. Małyszko. Zdjęcia dokonywane są w różnych obwodach Ukrainy. Materiał do tego filmu zaczerpnięto bezpośrednio z życia kołchozów, fabryk i kopalń na Ukrainie. Muzykę opracowują P. Majboroda i D. Pokras, a reżyseruje M. Słucki. Film „Kwitnąca Ukraina" ukaże się wkrótce na ekranach radzieckich.

## SZKOLNICTWO W GRUZJI

Z okazji dwudziestej rocznicy wprowadzenia ustawy o powszechnym obowiązku szkolnym otwarto w Muzeum Oświaty Gruzińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej wystawę, obrazującą dotychczasowe osiągnięcia na polu szkolnictwa. Z wystawionych materiałów wynika, że w r. 1914 ogólna ilość uczniów wyrażała się w Gruzji liczbą 156.000, podczas gdy w chwili obecnej uczy się łącznie 724.000 młodzieży w 4.268 szkołach. W okresie przedwojennych pięciolatek stalinowskich wzniesiono w Gruzji ponad dwa tysiące nowych budynków szkolnych.

E. Metal

# WŚRÓD KSIĄŻEK

### OPOWIADANIA O DZIERŻYŃSKIM

*Jurij German. Opowiadania o Feliksie Dzierżyńskim.* (Fragmenty). Przetłumaczył i wybrał fragmenty Roman Karst. Warszawa. „Prasa Wojskowa". Biblioteka Żołnierza. Seria III. Opowiadania o walce i pracy — 11. 1950. — str. 161 i 3 nl.

Wybór opowiadań J. Germana o Feliksie Dzierżyńskim stanowi bardzo celowe i pożądane uzupełnienie wydanej dwa lata temu biografii Dzierżyńskiego w opracowaniu T. Daniszewskiego. Opracowanie biograficzne ma charakter pełny, zwarty i w pewnym sensie uroczysty, przypadło bowiem w związku z 20-tą rocznicą śmierci Dzierżyńskiego. Z lekka beletryzowane opowiadania Germana przedstawiają postać płomiennego i nieugiętego rewolucjonisty w jego życiu codziennym, w pracy i walce, która była tego życia treścią — od wczesnych lat młodzieńczych aż po ostatni etap działalności Dzierżyńskiego na odpowiedzialnym stanowisku ludowego komisarza komunikacji Republiki Radzieckiej.

Pamięć o Dzierżyńskim jest w równym stopniu drogą robotnikom polskim, jak i radzieckim. Czynem swoim, rewolucyjną bojowością i ofiarnością, zaletami bezinteresownego charakteru dawał Feliks Dzierżyński żywy wzór i przykład wielkiego żołnierza Rewolucji, szlachetnego proletariackiego internacjonalisty, działacza i bojownika, który z najgorętszym umiłowaniem sprawy robotniczej łączy w swym sercu sprawiedliwą nienawiść dla świata ucisku i wyzysku. Te wyjątkowe w swym nasileniu cechy osobiste jednały Dzierżyńskiemu przyjaciół wśród towarzyszy broni, lecz i przysparzały wrogów w obozie reakcji i kontrrewolucji. W okresie budowania podstaw Państwa Radzieckiego nie było chyba człowieka bardziej znienawidzonego i spotwarzanego przez wrogów Rewolucji Październikowej, niż Feliks Dzierżyński, jeden z najbliższych współpracowników Lenina, szef Nadzwyczajnej Komisji do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem, a później przewodniczący Najwyższej Rady Gospodarczej i Komisarz Ludowy Komunikacji.

Bezpretensjonalne literacko opowiadania Germana mają tę bardzo poważną zaletę, że ukazują postać Dzierżyńskiego nie tylko jako niezłomnego bojownika i chorążego Rewolucji, lecz również jako człowieka niezwykłej dobroci i czystości wewnętrznej, zawsze czujnego i wrażliwego na dziejącą się w polu jego widzenia krzywdę i niesprawiedliwość.

Wbrew oszczerstwom i plotkom, szerzonym przez wrogów wolności i socjalizmu, takim właśnie był Dzierżyński i w życiu prywatnym i w działalności służbowej na wysokich stanowiskach w Rosji porewolucyjnej.

Zbyt szybko i gwałtownie wypaliło się to życie, oddane bez reszty świętej sprawie robotniczej, wypełnione aż po dzień ostatni ofiarną walką o zwycięstwo najszczytniejszych ideałów ludzkości. W jednym z listów do siostry pisał Dzierżyński jeszcze w r. 1898: „Życie będzie mnie mogło jedynie zdruzgotać, tak samo, jak burza stuletnie dęby wali, — lecz nigdy zmienić"... Nie zmienił się też Dzierżyński ani na jotę od daty, gdy pisał te dumne słowa. Ta niezmienność zadecydowała o wielkości i niepospolitości postaci Feliksa Dzierżyńskego, ta niezmienność wyznaczyła mu jedno z najbardziej przodujących miejsc w historii polskiego, rosyjskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, w historii proletariackiej rewolucji, która zwycięża i buduje przyszłość świata. **bd**

### DNI CHWAŁY.

*André Marty. Dni Chwały.* Powstanie we flocie francuskiej na Morzu Czarnym. Rok 1918 — 1919. Tytuł oryginału „Les heures glorieuses de la Mer Noire. Przełożyła Dr Halina Lewicka. Okładkę projektował Jerzy Cheska — Warszawa, „Książka i Wiedza", 1950. str. 110 i 2 nl.

Andre Marty, członek K.C. Komunistycznej Partii Francji, był w latach pierwszej wojny światowej inżynierem-mechanikiem na jednym z okrętów francuskiej floty wojennej. Jego wspomnienia o buncie marynarzy i poprzedzających ten bunt protestacyjnych wystąpieniach oddziałów lądowych są relacją nie tylko naocznego świadka, lecz również aktywnego uczestnika tych pamiętnych wydarzeń.

Wojska francuskie operujące w r. 1918 — 1919 na południu Rosji i w portach czarnomorskich, stanowiły część armii interwencyjnej mocarstw kapitalistycznych, której zadaniem miało być zdławienie Rewolucji Październikowej manu militari i przywrócenie w Rosji władzy burżuazyjno-obszarniczej. Bunt a raczej bunty francuskich załóg okrętowych oraz pułków piechoty pokrzyżowały w znacznym stopniu zamiary interwentów, którym zależało bardzo na szybkim zlokalizowaniu i zlikwidowaniu zamieszek wojskowych, mogłyby one bowiem łatwo przybrać — w ówczesnych warunkach — szersze i groźniejsze dla rządów kapitalistycznych rozmiary.

Przyczyną protestacyjnych wystąpień marynarzy francuskich była wzrastająca — i podsycana bezpośrednimi kontaktami z ludnością rosyjską — świadomość znaczenia i celów Rewolucji Październikowej oraz głębokie poczucie niesłuszności i zbrodniczości podjętej przeciwko Rosji akcji interwencyjnej. Poza tym, działały też czynniki wewnętrznej i materialnej natury, związane z brutalnością postępowania oficerów marynarki, z lekceważeniem przez dowództwo codziennych potrzeb marynarzy itp.

Marty w sposób bardzo trafny i ciekawy analizuje podłoże rewolucyjności marynarzy francuskich (i nie tylko francuskich), którzy pod tym względem górowali nad innymi rodzajami broni. Dzisiejszy zmechanizowany okręt wojenny — to wielka fabryka, a załoga takiego nowoczesnego okrętu — to zespół robotników-specjalistów, reprezentujących wysoki stopień uświadomienia klasowego. Te właśnie załogi robotników-marynarzy wysunęły się w r. 1919 na czoło walki rewolucyjnej we Francji.

Z szerszego punktu widzenia ustępstwa wymuszone przez zbuntowanych marynarzy na dowództwie floty interwencyjnej, miały charakter jedynie połowiczny i przejściowy, nie doprowadziły one bowiem do jakiegoś powszechniejszego zrywu rewolucyjnego wśród mas pracujących Francji. Ale „jest faktem niezaprzeczonym — podkreśla Marty — że powstanie na Morzu Czarnym, a właściwie wszystkie bunty wojskowe pierwszej połowy 1919 r. razem wzięte zmusiły imperializm francuski do rozluźnienia kleszczy zaciśniętych wokół Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Z kolei imperialiści angielscy i amerykańscy, którzy liczyli głównie na wojska francuskie, musieli uczynić to samo... Powstanie na Morzu Czarnym — pisze dalej Marty — było najwyższym wyrazem prawdziwie rewolucyjnego nurtu klasy robotniczej ludu francuskiego w latach 1919 — 1920". A poza tym, pamiętne powstanie marynarzy „będzie dla narodu francuskiego i dla całej międzynarodowej klasy robotniczej przykładem dobrze spełnionego obowiązku solidarności proletariatu na wypadek, gdyby imperialistom zachciało się ponownie rozpętać wojnę przeciwko ZSRR..."

W dzisiejszej sytuacji międzynarodowej taka przestroga ma walor bardzo wysoki. **bd**

### CZTERY DYNASTIE CHIN

*J. Jermaszew: Cztery dynastie Chin.* Okładkę projektował Harcin Izanecz. Warszawa, „Prasa Wojskowa", 1950. Str. 117 i 3 nl.

Książka Jermaszewa nie jest historią dynastyj cesarskich, które w ciągu minionych stuleci rządziły wielomilionowym narodem. Mowa tu natomiast o czterech współczesnych nam dynastiach oligarchów kapitału— Czangów, Kungów, Sungów i Czenów. W okresie kontrrewolucji chińskiej, po śmierci Sun-Jat-Senana, zaprzepaszczeniu jego wolnościowego dzieła, te cztery rodziny możnowładców finansowych, pod firmą reakcyjnego Kuomintangu i Czang-Kai-Szeka (dynastii Czangów), bezwstydnie i bezkarnie grabiły mienie narodowe, eksploatowały w nieludzki sposób chłopów i robotników, prześladowały okrutnie patriotów i demokratów, srożąc się najbardziej przeciwko komunistom i dla własnych egoistycznych zysków zaprzedawały kraj w niewolę japońskich i amerykańskich imperialistów.

Związane pomiędzy sobą licznymi nićmi wspólności interesów i koligacyj rodzinnych, cztery dynastie zdołały wyssać z potu i krwi ludu chińskiego olbrzymią sumę 20 miliardów dolarów, nie przebierając w sposobach i środkach swej prywatnej kapitalizacji. Czerpano dochody i zyski skąd się tylko dało, podstępnymi spekulacjami pomagając fortunie, bogacono się na wojnie domowej i pożyczkach państwowych, na inflacji i przemytniczym handlu z japońskimi okupantami.

Cztery dynastie zagarnęły w swoje chciwe ręce cały handel, przemysł i obrót finansowy Chin Kuomintangowskich, zawładnęły kolejami, stoczniami, elektrowniami, kopalniami, towarzystwami asekuracyjnymi itd. Jak pisze Jermaszew, już w 1936 r. kapitały czterech dynastyj, nagromadzone w kierowanych przez nie bankach, stanowiły 42 procent kapitałów wszystkich banków chińskich. Łączne aktywa czterech banków „dynastycznych" stanowiły 53 procent wszystkich aktywów bankowych w Chinach, czysty zaś dochód tych czterech wynosił 44 procent wszystkich chińskich instytucyj bankowych. Rozbójnicze i łupieżcze operacje czterech dynastyj umożliwiał im fakt posiadania do swej dyspozycji całego, przegniłego i skorumpowanego, aparatu władzy politycznej — administracji, wojska, policji.

W parze z gospodarczą grabieżą, dokonywaną systematycznie przez rekinów „dynastycznych", szła jawna i czynna zdrada interesów państwa i narodu uprawiana w ciągu dwudziestu lat rządów czterech dynastyj. Nie okupant japoński, nie imperialista amerykański uważany był przez nie za wroga; wroga widzieli wewnątrz kraju, w ruchu narodowo wyzwoleńczym i przewodzącej mu Partii Komunistycznej, w próbach oporu ze strony żywiołów patriotycznych i demokratycznych, które zwalczane były najbardziej bestialskimi metodami. Zdrada w polityce zagranicznej była uzupełnieniem i konsekwencją rządów reakcji chińskiej, z czterema dynastiami na czele. Stanowiło to dwie strony zjawiska, spotykanego nie raz w dziejach świata, w epokach bezwzględnego i niepodzielnego panowania oligarchii finansowej.

Ciekawa i źródłowa publikacja Jermaszewa — jeżeli chodzi o jej treść informacyjną dotyczy już przeszłości, skoro pod ciosami Armii Ludowej zawalił się ohydny reżim Kuomintangowski a Chiny wstąpiły nareszcie na drogę wolności i postępu. Lecz ostrzegawczy i budzący głębokie refleksje sens książki Jermaszewa nie traci na aktualności, istnieje bowiem jeszcze na świecie dość wiele krajów i narodów, trwających w ciężkim jarzmie „dynastyj" wielkokapitalistycznych. **bd**

### OPOWIEŚĆ O LUDZIACH Z KOPALNI

*Izydor Plaszczek: „Ludzie z czarnego Świata";* str. 98. Okładkę projektowali: Grabowska - Pucek. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950.

„Dawno, bardzo dawno temu — zaczyna Plaszczek swą niewielką, ale ciekawą i z sercem napisaną książeczkę — rosły tu dęby. Wielkie, rozłożyste, stare. Więc ludzie ciosali owe dęby. Ciosali codziennie, ciosali z wielkim trudem i nazwali to miejsce najpierw **Cioskiem.** Ciosali, spuszczali dęby i budowali kopalnię. Nazwali ją kopalnią **Dębieńsko".**

Książeczka jest opowieścią o współczesnych ludziach pracujących na tej kopalni, a tym samym opowieścią o współczesnych ludziach Górnego Śląska. Wykazując pełną znajomość funkcjonowania tego wielkiego i skomplikowanego zakładu produkcyjnego, jakim jest kopalnia węgla, Plaszczek prowadzi nas poprzez poszczególne oddziały pracy, jak gdyby chciał w plastycznym skrócie dać obraz wzorowego dnia roboczego. Widzimy więc kolejno podziemie i powierzchnię, kotłownię i ślusarnię, koksownię i laboratorium. Widzimy to wszystko nie od strony rzeczy i maszyn, ale od strony człowieka, który pokonuje rzeczy i kieruje maszynami, świadomie działając na rzecz realizacji ogólnokrajowych planów produkcyjnych. „Kopalnia Dębieńsko — mówi autor— to żywa kuźnia, wykuwająca co dzień i co noc prostą, jasną drogę do socjalizmu".

Przedstawiwszy uświadomionego politycznie i uspołecznionego górnika i robotnika przy pracy, Plaszczek pokazuje nam dalej zbawienne i prawidłowe działanie instytucji ubezpieczeń społecznych na kopalni oraz prywatne życie „ludzi z czarnego świata" na swych „familokach", czyli wielorodzinnych domach mieszkalnych, które zaludniają nie tylko aktualnie czynni robotnicy z codziennych i conocnych szycht, ale i wysłużeni emeryci kopalniani, dożywający tu spokojnie swoich dni pod opieką społeczeństwa i państwa. Książeczka kończy się relacją z zebrania Rady Zakładowej, na którym pada rozwiązanie raczej pomniejszych kłopotów miejscowych niż ogólnych i zasadniczych konfliktów.

Tu właśnie należy podkreślić słabą niewątpliwie stronę opowieści Plaszczka. Obraz „ludzi z czarnego świata" jest za pogodny i za łatwy. Autor albo w ogóle nie widzi rzeczywistych konfliktów, które każdy dzień pracy śląskiego górnika zamieniają w pole ustawicznej walki, albo też przesuwa się nad tymi konfliktami nazbyt frazeologicznie. Autor jest debiutantem, a więc na dalszej drodze pisarskiej będzie mógł znaleźć narzędzia do pogłębienia tego wszystkiego, o czym teraz pisze co prawda trafnie, ale powierzchownie. Olbrzymią pomocą będą tu dla niego dotychczasowe doświadczenia, których mu dostarczyło życie na wsi śląskiej w pobliżu kopalni, i głęboka miłość do górniczego ludu śląskiego.

Pisarsko debiutowa książeczka Plaszczka pozwala żywić jak najlepsze nadzieje na przyszłość. Ma styl prosty i potoczysty, a obrazy częstokroć tak sugestywne, że należy pochwalić autora za gust w doborze literackich wzorów, na których się wychował. „Wkraczamy na chodnik główny — pisze na przykład. — Spięty łańcuchami, podparty słupami, wygląda jak pochód bram triumfalnych". Jest to określenie godne rutynowanego pióra. **si.**

JAN EDWARD KUCHARSKI

# Nowe zadania klubów literackich

W tych dniach 9 Klubów Literackich województwa katowickiego rozpoczęło nowy sezon pracy. Dla dwóch Klubów jest to już piąty sezon z kolei. Rozporządzamy więc dość dobrą perspektywą i doświadczeniem, aby ocenić krytycznie co dotychczas zostało zrobione, w czym błądzono, co zaś — z dobrych początków — należy rozwijać.

Naprzód — krótki rys historyczny. Pomysł zakładania Klubów Literackich powstał w łonie Związku Literatów Polskich. Kluby — pomyślane jako instytucje społeczne, zależne organizacyjnie od oddziałów ZLP (sprawozdania z działalności, komisja rewizyjna) — miały na celu upowszechnienie nowej literatury, poprzez urządzanie stałych periodycznych odczytów, wygłaszanych przez zapraszanych pisarzy i krytyków. Środki na prowadzenie akcji odczytowej czerpano z subsydium oddziału ZLP, ze składek członkowskich i z wolnych datków. Organizatorem Klubów była — prawie bez wyjątku — aktywna społecznie inteligencja pracująca. To było naturalne, stanowiło zdrowy objaw potrzeb chwili, dawało hasłu upowszechnienia kultury natychmiastowy odzew i tej inteligencji dobre wystawiło świadectwo.

Kluby zostały zorganizowane na ogół dobrze, prace potoczyły się normalnie, bez przerw, poziom prelekcji i odczytów był wysoki. Ale ten konieczny w danej chwili rodowód inteligencki miał i swoje cechy ujemne. Być może, zbyt przejęto się terminem „Klub" — a więc organizacja ekskluzywna, zamknięta, i chociaż „Wieczory" zawsze były wolne dla wszystkich, to jednak pewna atmosfera ogólnej znajomości i „wtajemniczenia" nie sprzyjała rozszerzeniu ram pracy klubowej. Okazało się jednak, że — tak jak we wszystkich innych dziedzinach życia — rewolucyjne zmiany polityczno-społeczne powodują nasycanie starych wyrazów nową treścią. Pojęcie Klubu Literackiego zostało przez samo życie również zmienione.

Województwo nasze ma najbogatszą sieć Klubów w całej Polsce. Co spowodowało ten rozwój Klubów? Potrzeby terenu, ściślej: potrzeby inteligencji pracującej i starszej młodzieży. To stwierdzenie jest ważne gdyż wiąże się ściśle z pierwszym problemem, jaki Kluby Literackie miały do rozwiązania — sprawą zorganizowania widowni. Widownia Klubów Literackich nie odpowiadała obrazowi klasowemu społeczeństwa, brak było przedstawicieli najliczniejszej i najbardziej twórczej klasy — klasy robotniczej. Faktem jest, iż były rozmaite próby pozyskania sobie tej części publiczności, na ogół jednak, na dłuższą metę nie dały one trwałego rezultatu. Jeśli więc mowa o nowych zadaniach Klubów Literackich, to **pierwszym z nich będzie zorganizowanie widowni o zdecydowanie nowym obliczu klasowym.**

Wspomnieliśmy na początku o roli, jaką w pierwszej fazie istnienia Klubów wyznaczył im Związek Literatów Polskich. I znów okazało się, jek decydujące znaczenie ma dla każdej organizacji teren jej działalności. Praktyka bowiem pokazała, że nie ma dwóch jednakowo pracujących Klubów w naszym województwie. Różnice w pracy wynikły z konieczności zaspokojenia zamówień społecznych, innych dla każdego terenu.

Zanim przejdziemy do określenia tych różnic, zaznaczmy, że w tym momencie Kluby poczęły już wyrastać z nałożonych im początkowo zadań. Okazało się bowiem, że w wielu wypadkach Kluby Literackie były najaktywniej pracującymi placówkami kulturalnymi miast. Stąd zaczął się ustalać zwyczaj, że zamówienia społeczne na odczyty, prelekcje, akademie, wykłady popularyzacyjno - naukowe wpływały, zamiast do innych specjalnych placówek, właśnie do Klubów Literackich. Klub w mieście stawał się prawdziwym **ośrodkiem dyspozycyjnym upowszechnienia kultury.** Na początku obecnego sezonu znaczna część Klubów naszego województwa jest właśnie w takim stadium rozwoju.

Uprzytomnijmy sobie dwie rzeczy:

1) że istotą pracy Klubów Literackich są tak zwane Wieczory Klubowe, a więc odczyty przy średniej wielkości sali o widowni zorganizowanej samorzutnie wskutek zainteresowania tematem — i 2) że nie wolno zaniedbać masowych zamówień społecznych, gdyż dopiero te zamówienia stanowią prawdziwą legitymację społecznej służby.

Jak znaleźć wyjście z tego dylematu? Jak pogodzić dwa kierunki rozwojowe Klubów? I pod tym względem posiadamy już pewne doświadczenie. Proponujemy, żeby działalność Klubów podzielić na 1) **Działalność wewnętrzną:** Wieczory Klubowe, co tydzień w stały, oznaczony dzień — 2) **Działalność zewnętrzną:** imprezy masowe przy widowni zorganizowanej.

Ad 1) Działalność wewnętrzna nie może ulec żadnym zahamowaniom, ona bowiem jest wizytówką Klubu, stale widoczną, dającą znać o istnieniu i pracy placówki. Program tej działalności musi utrzymać poziom dostępny dla każdego, dość jednak wysoki i zróżnicowany tematycznie, tzn. uwzględniający oprócz literatury również plastykę, teatr, muzykologię, kino. Nie trzeba dodawać, że palący problem aktualnego rozwoju naszej sztuki — realizm socjalistyczny, musi tu znaleźć wszechstronne oświetlenie. Widowni Wieczorów Klubowych winna być doorganizowana. Cel ten osiągniemy, prowadząc umiejętnie działalność zewnętrzną. Będzie wielkim osiągnięciem zarządu Klubu, jeśli po pewnym czasie potrafi zainteresować swoimi imprezami zewnętrznymi wybitniejsze jednostki z środowisk robotniczych i młodzieży szkolnej i przyciągnie je na stałych bywalców Wieczorów Klubowych. Wypełni w ten sposób pierwsze z nowych zadań Klubów Literackich, a umożliwi realizację drugiego zadania, jakie Kluby winny sobie postawić.

Zadaniem tym jest **obudzenie nowych kadr działaczy kulturalnych z klasy robotniczej i młodzieży.** Tacy działacze będą już dalej w swoich środowiskach realizowali czynnie zbliżenie konsumenta sztuki do twórcy.

Ad 2) Działalność zewnętrzna w pracy Klubów Literackich przybierać może formy rozmaite: imprez stałych, planowanych lub dorywczych, okolicznościowych, opieki kulturalnej i innych. Za środowisko może obrać teren młodzieżowy, nawet dziecięcy (sosnowiecka akcja „Autorzy dla dzieci") ale przede wszystkim objąć powinna teren robotniczy.

I właśnie na tym polu szukać należy trzeciego nowego zadania Klubów Literackich. Będzie nim **wejście w stały kontakt z kierownikami świetlic robotniczych, zorganizowanie tam kółek literackich i dyskusyjnych, wreszcie wejście z autorem i prelegentem na masowe odczyty i wieczory autorskie.** W tym punkcie koniecznym byłby kontakt kierownictwa „Artosu" i Wiedzy Powszechnej z lokalnymi Klubami, znającymi dobrze ten teren, aby dorywczą akcję tych instytucji włączyć w stałą periodyczną obsługę kulturalną robotniczych środowisk. Jest to zadanie niełatwe. Przez pięć lat pracy Klubów, tylko sporadycznie udawało się tam dostać. Dobór prelegentów i tematów winien być na tego rodzaju zebrania troskliwie rozpatrzony, zarówno pod kątem atrakcyjności i wagi tematu, jak i samej osoby prelegenta, jego warunków głosowych i umiejętności obcowania z ludźmi.

Akcję w terenie robotniczym trzeba poprzedzić odpowiednim przygotowaniem. Pierwszym krokiem będzie założenie wspomnianego kółka literackiego, następnie radio zakładowe winno kilkakrotnie zapowiedzieć pierwszą imprezę, kierownictwo świetlicy wytypować najodpowiedniejszy termin i wysondować wśród załogi, kogo ze swoich autorów chciałaby zobaczyć. Pierwsze uderzenie będzie tu najważniejsze — nie można zrobić pudła. Udana impreza będzie miała decydujące znaczenie dla dalszej pracy.

Pozyskanie dla nowej socjalistycznej literatury środowiska robotniczego jest koniecznością i na odwrót konieczne jest dla autorów poznanie tego środowiska drogą osobistych kontaktów. Kluby Literackie muszą tu odegrać rolę pośrednika.

Słusznie mógłby ktoś zauważyć, jak daleko odeszliśmy od skromnych koncepcyjnych założeń pracy Klubów Literackich, jak rozrósł się program, jakie ambitne stawiamy sobie zadania. Można by odpowiedzieć: jak ambitnie wyglądał w roku 1946 trzyletni plan odbudowy?— a jednak został wykonany. To co wystarczało wczoraj, dzisiaj już nie wystarcza, albowiem stać nas na więcej.

Wchodzimy nowym sezonem w plan 6-letni. Jeśli w roku 1955 produkcja książek i broszur wzrosnąć ma o blisko 100%, jeśli liczba abonentów radiowych ma się zwiększyć o przeszło 150%, to naszym zadaniem jest przygotować o 100% więcej konsumentów literatury, o 150% więcej uświadomionych słuchaczy radia. Jasne zaś jest, że takie rozszerzenie bazy kulturalnej może się dokonać tylko przy największym udziale klasy robotniczej.

Nowe zadania Klubów Literackich są więc tylko skromną konsekwencją wielkiego planu sześcioletniego. Przy realizacji tych zadań nie powinno zabraknąć nikogo z doświadczonych w pracy kulturalnej działaczy Klubów.

Jeśliby jednak ktoś uparty powtórzył, że ta suma zadań nie pasuje już do nazwy „Klub Literacki" — nie kruszmy o to kopij, ważniejszą jest treść wykonywanej pracy niż nazwa.

U progu nowego sezonu życzymy Klubom Literackim Katowic, Sosnowca, Bytomia, Częstochowy, Zabrza, Gliwic, Dąbrowy Górniczej, Rybnika i Myszkowa najlepszych wyników działalności.

**Jan Edward Kucharski**

# KORESPONDENCJA

## JESZCZE W SPRAWIE KONKURSÓW I NAGRÓD

Po przeczytaniu artykułu Fr. Dończyka w 24 nrze „Nowej Kultury": „O konkursach literackich, terminach i nagrodach" nasunęło mi się kilka uwag na ten temat. W pełni podzielam zdanie autora, dotyczące konieczności należytego informowania szerokich mas o ogłaszaniu i wynikach konkursów literackich, ale mam pewne zastrzeżenie, jeśli chodzi o technikę proponowaną przez Dończyka.

Sądzę, że „Związkowiec" nie będzie mógł sobie pozwolić na poświęcanie ½ czy 1 strony ogłoszeniom konkursów. Szczupłość miejsca nie pozwoli moim zdaniem „Związkowcowi" na ogłaszanie wszystkich informacji dotyczących konkursów literackich i nieliterackich (bo niby dlaczego mamy faworyzować konkursy literackie?). A wreszcie, gdyby „Związkowiec" miał rzeczywiście zamieszczać wszystkie tego rodzaju informacje włącznie z omówieniami prac nagrodzonych, to w żadnym wypadku nie wystarczyłaby 1 strona.

Moim zdaniem sprawę rozwiązałoby wydawanie miesięcznego biuletynu informacyjnego, który w formie dodatku do każdego pierwszego w miesiącu numeru „Trybuny Ludu" i któregoś z najbardziej popularnych dzienników lub tygodników chłopskich byłby dostępny dla każdego „śmiertelnika". Od ilości materiału zależałaby objętość i cena (nie drożej niż 10 zł.) tego wydawnictwa.

Co do pozostałych propozycji Dończyka — zgadzam się, że należy kontrolę dotrzymywania terminów konkursowych i wypłacania nagród powierzyć odpowiedzialnym przedstawicielom CRZZ, Partii i ZLP.

I jeszcze jedno. Moim zdaniem, nie tylko nieprzestrzeganie terminów konkursów wpływa ujemnie na ożywienie twórczości robotników i chłopów. Jestem przekonany, że na konkurs literacki ogłoszony przez „Sztandar Młodych" wpłynie dużo prac napisanych przez młodych robotników i chłopów. Dlaczego? Ponieważ w warunkach konkursu podano, że nie mogą brać udziału członkowie rzeczywiści Związku Literatów Polskich, i nie ograniczono się do ogłoszenia tylko wysokich nagród.

Często robotnik, który ma talent, ale nie ma dostatecznego doń zaufania, mówi z żalem i ze słusznością: „Przecież i tak zawodowy literat napisze lepiej, więc na nagrodę nie mogę liczyć". I nie pisze.

„Sztandar Młodych" poza wysokimi nagrodami ufundował 100 książek. Na taką więc zapłatę liczą „słabsze talenty".

Konkludując, uważam, że jeśli jakaś instytucja, stowarzyszenie, itp. ogłasza konkurs literacki i pozwala sobie przekazać na ten cel poważne fundusze, to należy:

1) Ogłaszać konkursy literackie tylko dla literatów.

2) Ogłaszać konkursy literackie, w których nie mogą brać udziału członkowie rzeczywiści ZLP. Wtedy będziemy mieli prawo sądzić, że wyłowimy nowe talenty, a nie ograniczymy się do poznania nowych prac znanych autorów.

3) Ogłaszać konkurs literacki dla wszystkich, jednakże osobno rozpatrywać prace członków ZLP i nowicjuszy w zawodzie literackim, przyznając osobne nagrody tym dwóm kategoriom twórców.

4) Obok wysokich nagród przewidywać kilkanaście a nawet kilkadziesiąt małych nagród pocieszenia. Nawet wartościowa książka ucieszy robotnika czy chłopa, dodając mu bodźca do dalszej pracy nad sobą. Nawet odrobina talentu musi być wyłowiona i nagrodzona.

5) W żadnym wypadku nawet najmniejszą nagrodą nie należy obdarzać autorów, których prace ujawniają wyłącznie cechy grafomanii.

6) Jak już powiedział Fr. Dończyk, należy dokładnie informować autorów o losach ich prac.

Tyle na marginesie artykułu Dończyka.

Niezależnie od tego pragnę dodać kilka słów na temat, który pominął Dończyk, pisząc o konkursach literackich. Konkurs został ogłoszony, napłynęła pewna ilość prac, konkurs rozstrzygnięto w terminie, wyniki podano do publicznej wiadomości, rozdano nagrody, poinformowano laureatów o losach ich prac i... na tym koniec.

Czy tak być powinno? Chyba nie. Należy otoczyć troskliwą opieką laureatów - debiutantów. Nie możemy pozwolić, by talent, rozwijając się sam, wkroczył na błędne drogi. Na temat opieki nad początkującymi literatami pisał w 24 nrze „Nowej Kultury" Bogdan Hamera. Ale mnie chodzi nie o tych, którzy swe utwory przesyłają do redakcji pism czy wydawnictw, tylko o tych, którzy słusznie nagrodzeni w konkursach literackich, ogłaszanych przez instytucje mało z literaturą mające wspólnego, piszą później „na zabój", byle więcej, oszołomieni sukcesem.

I tu znów jako przykład stawiam konkurs literacki „Sztandaru Młodych" (o którym prasa literacka milczy). W warunkach konkursu ogłoszono, że jury zajmie się wydaniem zasługujących na to utworów i otoczy specjalną opieką ich autorów.

Chodzi tu o dobro społeczne, bo skoro powieść, nowela lub opowiadanie są produktami społecznymi, to talent jednostki nie jest własnością prywatną, lecz służy całemu społeczeństwu. A o dobro społeczne musimy dbać. Zwłaszcza bacznie musimy czuwać dzisiaj, w okresie budowy nowej, socjalistycznej kultury, nad drogą, po której kroczą jej twórcy. Żaden talent nie może się zmarnować, nie może chadzać własnymi, często błędnymi drogami.

Tylko wtedy, gdy organizatorzy konkursów literackich będą przestrzegali wszystkie wymienione wyżej warunki, konkursy te spełnią swe zadanie, wyławiając talenty i oddając je konsumentowi — społeczeństwu.

**Jerzy Waczyński.**

# mała kronika

*Burżuazja jest solidarna i wzajemnie się od siebie uczy; wystarczy przejrzeć gazety. Kuzyn Alfonsa XIII, byłego króla Hiszpanii, niejaki książę Alfonso de Bourbon Bernardos de Quieros systematycznie kradł w nowojorskich sklepach ubrania, którymi opłacał kelnerom rachunki za nocne hulanki; dać tę wiadomość na pierwszą stronę burżuazyjnej gazety obok depeszy, że na koreańskie miasto Nadżin zrzucono dotąd 530 ton bomb, na Wonsan i Phenian po tysiącu ton, a na Konan — tysiąc trzysta ton. Faszystowski generał, osławiony administrator obozów koncentracyjnych Pohl, zastępca Kaltenbrunnera, został wypuszczony na wolność za dobre sprawowanie się w więzieniu. Gazeta pokazuje jego roześmianą buzię obok artykułu o nowej armii niemieckiej, której potrzebni będą starzy, zasłużeni generałowie. Dobrodziejstwa planu Marshalla; Errol Flyn, znany aktor hollywoodzki, płaci alimenty już dwóm kolejnym żonom i z braku pieniędzy nie może się trzeci raz ożenić; syn Churchilla połknął kulę w Korei. Obok jego mordy młodego buldoga rozważania amerykańskiego atomowca o wojnie prewencyjnej. Jaki świat — taka i wymiana doświadczeń. Hinduski tygodnik „Cross Roads" ogłosił wyniki pracy doradców amerykańskich w Korei. W dolinie wioski Rang Wul, niedaleko Taedżonu, amerykańscy oficerowie kierowali masakrą siedmiu tysięcy ludzi. Masowe groby kryją dwieście tysięcy ludzi, więźniów politycznych, zamordowanych przez żołdaków Li Syn-mana. Inni korespondenci donoszą, że liczba zamordowanych sięga prawie pół miliona. Przy tych mordach zastosowano technikę amerykańską: samochody i karabiny, a na miejscu straceń pozostały puste pudełka po amerykańskich papierosach...*

*Niedawno tygodnik młodzieży polskiej „Sztandar Młodych" rozpoczął wymianę doświadczeń naszego świata. Na Święto Majowe 1950 młoda komsomołka, brygadzistka fabryki „Komuna Paryska", wezwała młodzież krajów demokracji ludowej do korzystania z jej doświadczeń. Brygadzistka Korabielnikowa zastosowała nową formę współzawodnictwa: kompleksowe oszczędzanie materiału. Postanowiła przez miesiąc zaoszczędzić tyle surowca, aby można było na nim przepracować jeden pełny dzień. Poznając coraz lepiej tajniki produkcji, mając twórczy, socjalistyczny stosunek do pracy — brygada Korabielnikowej cały 31 marca 1950 roku przepracowała przy zamkniętym magazynie, dając krajowi 730 par obuwia; cały zaś oddział wyrobił 4.300. Porwała całą fabrykę; miesiąc później cała „Komuna Paryska" pracowała na zaoszczędzonym materiale, produkując ponad plan dziesiątki tysięcy par obuwia.*

*Na apel Korabielnikowej! — odpowiedziała młodzież robotnicza naszych fabryk. Przyjrzyjcie się tym zobowiązaniom! Miliony złotych, kilometry materiału, dziesiątki tysięcy metrów nici, oszczędzanie lutu cynkowego, taśmy bawełnianej, miedzi odpływowej, płótna, węgla, wierteł, gwintowników, kalki technicznej, olejów mineralnych. W trzy miesiące po „Komunie Paryskiej", w miesiąc po ogłoszeniu apelu Korabielnikowej w „Sztandarze Młodych" — młodzieżowa brygada z Żyrardowskiej Roszarni dała cały dzień pracy na zaoszczędzonym materiale, wyprodukowała „z niczego" 375 kg. czystego włókna.*

*Ruch korabielnikowców ogarnął ogromne rzesze młodzieży, stał się wspaniałą akcją wychowawczą. Przysłuchajcie się dyskusji, jaka toczy się od kilkunastu dni na łamach „Sztandaru Młodych"! Pierwsza Ogólnopolska Korespondencyjna Narada Korabielnikowców — to nie tylko dyskusja produkcyjna; to głos nowych ludzi, budowniczych socjalizmu, dzisiaj przodowników, wynalazców i racjonalizatorów, jutro wychowawców nowego pokolenia komunistów. Oto uczestnik narady melduje o dokonaniu usprawnienia w ostrzeniu noży; oto ZMP-ówka z Poznańskich Zakładów Odzieżowych pisze, że jej brygada przez trzy dni pracowała na zaoszczędzonym materiale; oto robotnicy przemysłu ciężkiego zastanawiają się, jak kompleksyjną oszczędność zastosować w swojej gałęzi produkcji. Oto młodzieżowa brygada z Wrocławia cały swój zarobek w „zaoszczędzonym" dniu oddała dla Korei. Młodzież z cukrowni Garbów pragnie wybudować samolot sanitarny dla koreańskiej Armii Wyzwoleńczej. Oto piszą robotnicy kolejowi, garbarze, filmowcy, krawcy. Oto wraz z apelem Korabielnikowej młodzież coraz szerzej podejmuje akcję Niny Tarabarowej — opieki robotników wykwalifikowanych nad niewykwalifikowanymi. Tak wytwarza się kolektyw, zespół robotniczy nowego typu, tak w każdej pracy człowiek uczy się dostrzegać elementy naukowego opanowania przyrody.*

*Kiedy młodzież polska przyswaja sobie mądrość Korabielnikowej, kiedy dźwiga się na wyższy szczebel świadomości ludzkiej, kiedy klasa robotnicza całego świata dzieli się swym doświadczeniem w budowaniu lepszego świata — wtedy imperialiści wprowadzają „ulepszone" systemy likwidacji ludzi, wtedy ich żołdacy zwierzęcieją gorzej od faszystów, wtedy burżuazja całego świata marzy o zniszczeniu świata; to także jest swoisty sposób współzawodnictwa: między Keitlem i Marshallem, Achesonem i Ribbentropem, Dullesem i Goebbelsem, Churchillem i Quislingiem, Hitlerem i Trumanem; między niszczeniem Warszawy i Seulu, Rotterdamu i Wonsanu, Coventry i Phenianu; między straszliwą doliną Bergen Belsen i niesamowitą polaną Rang Wul.*

*Ale gdy ludzkość ukarze Marshallów, Achesonów, Dullesów, Churchillów i Trumanów tak surowo, jak ukarała ich faszystowskich poprzedników, gdy odbuduje i Seul, i Wonsan, i Phenian, gdy czcią otoczy Bergen Belsen i Rang Wul — wtedy ta sama ludzkość miłością opromieni imiona Korabielnikowej i Tarabarowej i godnie uczci trud setek tysięcy bezimiennych przodowników pracy, brygad młodzieżowych z Wrocławia, Poznania, Szczecina, korabielnikowców z przemysłu odzieżowego i garbarskiego, kolejarzy i metalowców... Tak jak my czcimy ten trud dzisiaj.*

**Tadeusz Borowski**

# Komentarze

## Gdzie jest Melpo Axioti?

W krajach obozu imperialistycznego historia okrucieństw i dyskryminacji, popełnianych wobec ludzi, którzy ukochali prawdę i wolność, powtarza się codziennie, wpisując na listę prześladowanych lub zadręczonych coraz to nowe ofiary.

Dopiero co zakończyła się sprawa Nazima Hikmeta, dopiero co rząd turecki musiał ustąpić wobec zjednoczonej opinii świata postępu i zwolnić wielkiego poetę z więzienia, a już rozeszła się wiadomość o aresztowaniu przez monarchistyczny rząd grecki znakomitej powieściopisarki greckiej, Melpo Axioti, która w jednym ze swych opowiadań trafnie orzekła, że psy strzegą teraz wejścia na Akropol — pamiątkową i symboliczną górę demokracji ateńskiej.

Któregoś dnia o świcie do pokoju powieściopisarki wtargnęła policja i uprowadziła ją w niewiadomym kierunku. Specjaliści od knebli z waty pokryli głębokim milczeniem los aresztowanej, zatarli miejsce czy też jaskinię, do której ją wtrącili.

Monarchistycznej konstytucji greckiej brak niewątpliwie jednego paragrafu: paragrafu o prawie bezkarnego gwałtu. Zresztą brak jej tylko literalnego sformułowania tego paragrafu, bo odnośne zasady jasno przemawiają spomiędzy wierszy. Monarchistyczne władze potrafią czynić z tego rację stanu, czego dowodzi fakt, że gdy pewien ateński adwokat, będąc wyrazicielem powszechnego zaniepokojenia o los greckiej powieściopisarki, śmiał telefonicznie zainterpelować Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, odpowiedziano mu co następuje:

— To nie pańska sprawa. Zarządzenie **administracyjne**. Adwokatom nie wolno mieszać się w te rzeczy.

Gdzie jest Melpo Axioti?

Jeżeli monarcho-faszyści sądzą, że w jej osobie zamordowali albo zakneblowali prawdę, to są w grubym błędzie. Melpo Axioti, patriotka grecka, uczestnicząca od dawna w greckim ruchu oporu, przemawia na cały świat językiem prawdy i wolności, gdzie kolwiek by była: w celi więziennej, w obobie koncentracyjnym czy też na zesłaniu.

I cały świat antyimperialistyczny, świat ludzi miłujących wolność i prawdę, piętnuje „konstytucyjnych" popleczników gwałtu, którzy ją uprowadzili i otoczyli nieprzeniknionym murem policyjnego milczenia.

**sl.**

## Fortuna toczy się kołem

Na scenie Niemiec Zachodnich pojawił się w pełnym splendorze jeszcze jeden ekshitlerowiec i neohitlerowiec: graf von Schwerin. Jego kariera w przeszłości jest znana aż za dobrze. W maju 1940 r. stał na czele dywizji pancernych, które dokonały najazdu na Francję, a podczas walk w Związku Radzieckim dowodził 116-stą, również pancerną dywizją.

Graf von Schwerin już dawniej powrócił do łask i urzędów. Pod pozorem organizowania pomocy emerytalnej dla byłych oficerów Wehrmachtu kierował dotąd reorganizacją byłych kadr hitlerowskich. Obecnie awansował. Krótki komunikat rządu w Bonn podaje do wiadomości, że von Schwerinowi „na zarządzenie kanclerza federalnego powierzono kierownictwo wszystkich spraw odnoszących się do bezpieczeństwa kraju..."

Sens tej nominacji i tego komunikatu jest jednoznaczny. „Sprawy odnoszące się do bezpieczeństwa kraju" należy rozumieć wyłącznie i jedynie jako „sprawy odnoszące się do pełnej i szybkiej remilitaryzacji Niemiec Zachodnich". Kieruje nimi hitlerowiec.

**si**

## Sztuka i moda

Że w społeczeństwie kapitalistycznym sztuka wysługuje się często klasom posiadającym jest prawdą znaną nie od dzisiaj. Zmieniają się tylko przejawy tej zależności, które w obecnych czasach stają się coraz trywialniejsze i bardziej cyniczne. Oto przykład:

Orkiestra wiedeńskiej Filharmonii urządza obecnie pod kierownictwem Wilhelma Furtwänglera tournée po Niemczech Zachodnich, Szwajcarii, Holandii itd. Ta impreza związana jest z „propagandową akcją austriackiego Instytutu dla popierania gospodarki". Podczas koncertów będą — dosłownie! — **„prezentowane kreacje austriackiego przemysłu mody i rzemiosł artystycznych"**. Tyle przeczytaliśmy w komunikatach prasy wiedeńskiej.

Będzie to zaiste budujące widowisko, gdy między dwiema frazami symfonii Beethovena wystąpi na proscenium młoda i urocza dama w sukni wieczorowej, lansując ostatni krzyk elegancji wiedeńskich atelier mód. Albo: przy dźwiękach „Lohengrina" roznegliżowana panienka demonstruje powiewne szczegóły damskiej bielizny wyrobu firmy takiej i owakiej. Sam Furtwängler będzie nosił frak z firmy „Hosenschneider", soliści ubrania z warsztatów krawieckich „Cis-dur".

Nieograniczone możliwości otwierają się przed pozbawionymi dochodów orkiestrami, które zatrudniają w zespole większą ilość kobiet. Ich przyjęcie do orkiestry będzie wówczas zależało oczywiście nie tyle od umiejętności muzycznych, ile od zgrabnej figury.

O muzyko made in Austria!

**rk**

## Kulturalna mozajka z USA

Angielska aktorka Margaret Webster występuje obecnie ze swoim zespołem teatralnym w Stanach Zjednoczonych, objeżdżając większe miasta, w których wystawia sztuki szekspirowskie. Zajechawszy do stanów południowych mistress Webster spotkała się z nader przykrym przyjęciem. Rzecz poszła o to, że w sztuce „Poskromienie złośnicy" wystąpiło dwóch Murzynów, co nie spodobało się tamtejszej publiczności. Manager zerwał kontrakt i angielscy aktorzy musieli zrezygnować ze swych występów.

Popularyzować kulturę w Ameryce trzeba umieć. Miast zatrudniać w zespole Murzynów, Margaret Webster powinna lepiej wziąć sobie przykład z pewnego profesora „New York College", wykładającego higienę umysłową. Ten uczony zyskał sobie w całej Ameryce sławę „najpopularniejszego profesora", jego wykłady cieszą się niezwykłą frekwencją. Dlaczego? Nasz profesor ma oryginalną metodę wykładania: aby studenci nie usnęli na lekcji, przerywa on od czasu do czasu swoją prelekcję wystrzałami z pistoletu, albo też produkuje różne sztuczki magiczne: połyka niedopałki papierosów, zmienia kolory chusteczki do nosa, a niekiedy rzuca po sali surowymi jajami. Zaindagowany przez reportera „New York Times" na temat swej metody „wychowawczej", „uczony" odparł: „Robię wszystko, co można, aby rozerwać swoich uczniów".

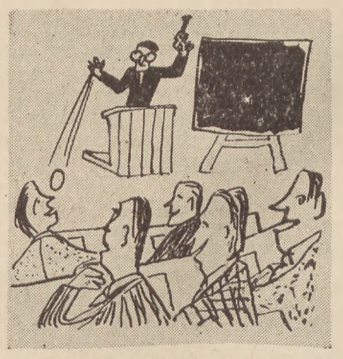

Tak jest, mistress Webster. Trzeba robić wszystko co można, aby rozerwać plantatorów bawełny z Georgii.

**kst**

## Echo Scottsborough

W Anglii ukazała się obecnie autobiografia Haywood Pattersona, jednego z czterech oskarżonych w słynnym procesie w Scottsborough. Afera ze Scottsborough poruszyła w roku 1931 cały świat, kiedy to skazano na śmierć czterech niewinnych Murzynów oskarżonych o zgwałcenie dwóch białych dziewcząt. Pomimo, że przewód sądowy wykazał niewinność oskarżonych, zapadł na nich wyrok śmierci, który został zamieniony na karę dożywotniego więzienia. Niedawno uciekł z więzienia w Atmore ostatni z oskarżonych, Haywood Patterson, który spisał historię swojej siedem-

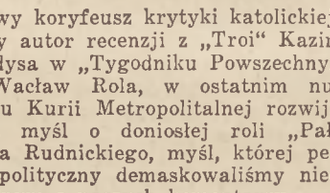


nastoletniej gehenny. O autobiografii Pattersona pisze Kingsley Martin w „New Statesman":

„Ta historia.. potwierdza to, cośmy często słyszeli o więzieniach „dalekiego południa" Ameryki. Brutalność w tych zakładach jest jawna, nieustająca i beznadziejna. Straszne chłosty należą do codziennej praktyki. O ile nawet niewielu więźniów poniosło dotychczas śmierć, to niejeden z nich został kaleką na całe życie. Homoseksualizm jest zjawiskiem powszechnym we wszystkich więzieniach. W Atmore, jak się zdaje, jest on jednym z metod zawiadywania. Stosunek nadzorców do więźniów, systematyczne okrucieństwo, korupcja, zupełna obojętność władz, które są jedynie zainteresowane w tym, aby z więźniów wycisnąć jak najwięcej pracy, zanim zdążą umrzeć — wszystko to przypomina Dachau i Bergen-Belsen".

**ro**

## Krzywda pisarza

Nowy koryfeusz krytyki katolickiej, niedawny autor recenzji z „Troi" Kazimierza Brandysa w „Tygodniku Powszechnym" — ob. Wacław Rola, w ostatnim numerze organu Kurii Metropolitalnej rozwija swą cenną myśl o doniosłej roli „Pałeczki" Adolfa Rudnickiego, myśl, której perfidny sens polityczny demaskowaliśmy niedawno w jednym z naszych komentarzy.

„...Rudnicki zajął głęboko humanistyczne stanowisko wobec człowieka" — pisze Rola, — charakteryzując treść „Pałeczki", poświęconą jak sam stwierdza wyłącznie analizie „krańcowych stadiów rozkładu moralnego" n-owskich literatów. „Pałeczka" — stwierdza — „jest rasową powieścią o szeroko rozbudowanym systemacie wątków. Jest ona dużym osiągnięciem artystycznym autora „Pięknej sztuki pisania"... „Pałeczka — pisze wreszcie — to ogromny triumf artystycznej wizji w literaturze" itd.

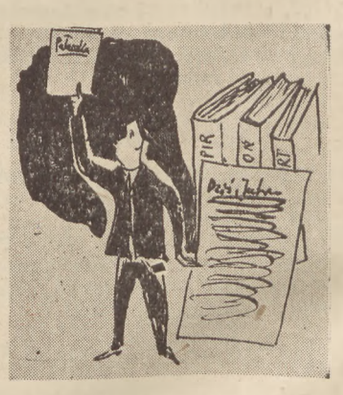


Skąd ten niezwykły entuzjazm recenzenta „Tygodnika" do chybionego utworu postępowego pisarza, autora „Konia" i „Majora Huberta z armii Andersa", skąd ten zachwyt dla literatury zdawałoby się dość dalekiej od wzorców twórczości „katolickiej", entuzjazm dla analizy „procesów gnilnych", jaką uprawia Rudnicki w „Pałeczce"?

Mógłby on niewątpliwie zdziwić kogoś, kto nie obserwuje pilnie metod, jakimi posługują się przeciwnicy nowej, socjalistycznej literatury, skupieni wokół „Tygodnika". Nas nie dziwi. Nie dziwiąc się jednak musimy gorąco zaprotestować przeciwko krzywdzeniu pisarza, który, niezależnie od swych artystyczno-ideowych pomyłek, w licznych utworach dał dowód tego, że jest pisarzem postępowym, nie zasługującym na złośliwe pochwały „Tygodnika".

**rdo**

## O dane z życia Włodzimierza Stebelskiego

Przygotowuję do druku wybór poezji zapomnianego poety Włodzimierza Stebelskiego( ur. w Małopolsce w r. 1848, zakończył życie samobójstwem w Warszawie, r. 1891). Wydobyłem z roczników starych czasopism i innych źródeł sporo jego wierszy, nie mam natomiast prawie żadnych wiadomości o życiu nieszczęśliwego poety.

Proszę wszystkich, którzy posiadają jakieś informacje biograficzne dotyczące Stebelskiego, o łaskawe przesłanie mi ich na adres: Warszawa, Wiejska 14.

**Julian Tuwim**

**JÓZEF PRUTKOWSKI**

## NA BUDOWIE

**Nowe mury i bramy,**
**Błysk szyby, kielni blask.**
**Rosną krzywe diagramy**
**Prosto do gwiazd.**

**Z kominów, dymów grzywy,**
**A krzywe znów zęby ostrzą.**
**Kto idzie przez te krzywe,**
**Ten idzie drogą najprostszą.**

**Rośnie najprostsza krzywa**
**Kielnia w rękach migoce**
**— Patrz, jeden murarz-dziwak**
**Wyrabia tylko sto procent.**

**Gra kielnia, w to jej graj**
**— Jeszcze pięterko, kolego.**
**„Takich trzech jak my dwaj**
**Nie ma ani jednego".**

**Biedne forestale zapełniają szpitale**
**Źle z ich systemem nerwowym.**
**A my się pniemy piętrami wspaniale**
**Naszym systemem trójkowym.**

**A kiedy gmach nasz już będzie gotowy**
**Rozprostujemy mięśnie.**
**„Z tobą, kochana, systemem dwójkowym**
**Będziemy budować szczęście".**

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel. 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji, ul. Wiejska 12.. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Prenumerata i kolportaż: P.P.K. „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12. tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 100—: kwartalnie zł 300—: półrocznie zł 600—: rocznie zł 1200—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, ul. Chmielna 25. Cena ogłoszeń: zł 180 za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń Czytelnik, Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 B-128141